TYDZIEŃ

Nr 21 (45) ROK II

25. V. 1947

CENA 15 ZŁ



DZIŚ: STEFANIA GRODZIEŃSKA • KAROL MAŁCUŻYŃSKI • WANDA MELCER
MICHAŁ RUSINEK • JERZY MIECZYSŁAW RYTARD • JERZY WYSZOMIRSKI

NASZA OKŁADKA



Rys. Kazimierz Mann

NA ZIELONE ŚWIĄTKI

tak i nie

Kariera Eriki Blomberg

DZIESIĘĆ lat temu Hitler zwolnił swego ministra wojny marszałka Blomberga. Powodem dymisji były nieporozumienia na temat zmian personalnych w armii niemieckiej i zbytnia— według pojęć Hitlera — samodzielność Blomberga. Jako powód oficjalny podano kompromitujące małżeństwo marszałka z damą, której podobizna stanowiła ozdobę kartoteki berlińskiej policji obyczajowej.

Warto zaznaczyć, że świadkiem ślubu był sam Hitler.

Blomberg umarł, a młodą wdową zainteresowali się dziennikarze amerykańscy. Fofografia przystojnej zresztą niewiasty znalazła się na łamach dzienników, w których na pewno nie było miejsca dla fotografii np. Hoessa. Rezultat: kilka ofert matrymonialnych. Jak twierdzi Erika, przeważnie „od amerykańskich dżentelmenów z południowych stanów".

Tajemnica statystyki

ANGLICY postanowili zreformować sposób obliczania tzw. wskaźnika kosztów utrzymania. Jak się okazuje, obecny system obliczania kosztów utrzymania oparty był na przeciętnym budżecie rodziny robotniczej z 1904 roku. Jako podstawę do obliczenia np kosztów oświetlenia brano cenę świec. Statystycy nie uwzględniali ani kosztów elektryczności, ani gazu, nie mówiąc już o wielu zasadniczych zmianach w wyborze towarów konsumowanych obecnie masowo, a nieznanych lub niepopularnych przed przeszło 40 laty.

Jeżeli w podobny sposób obliczano wskaźniki również w innych krajach, to jasne się staje, że mimo oficjalnych zapewnień, że życie nie podrożało ludność pracująca skarżyła się, że zwiększone nawet zarobki nie wystarczają na utrzymanie.

Chmury za atlantykiem

NA horyzoncie nadkoniunktury przemysłowej w Stanach Zjednoczonych zarysowują się pierwsze chmury. Nie mają coprawda jeszcze rozmiarów potwornego grzyba nad wyspą Bikini, ale choć drobne—świadczą, że jeżeli nie nastąpią zdecydowane posunięcia, to Amerykę może czekać nowy kryzys.

Powrót milionów zdemobilizowanych żołnierzy do domu był o tyle utrudniony, że domów brakowało. Spekulacja gruntowa, niehamowana żadnymi ograniczeniami, szalała. Przy niesłabnącym zainteresowaniu ze strony nabywców cena za skromny domek skoczyła z ok. 6.000 dolarów na prawie 11.000 dolarów. W roku bieżącym zanotowano pierwsze bankructwa przedsiębiorstw budowlanych. Wielu przedsiębiorców musiało przerwać roboty lub sprzedać niewykończone domy ze stratą. Z uwagi na to, że stan taki został stwierdzony w Portland, Boston, Kansas City, Atlanta, Chicago i całym szeregu innych mniejszych miast, wolno stwierdzić, że zjawisko ma charakter masowy.

Skurczenie się rynku zaobserwowano również na innym odcinku — w przemyśle produkującym konfekcję damską. Spadek wynosi 30 procent w porównaniu z rokiem ubiegłym.

Reakcja przemysłowców jest zgodna z tradycjami kapitału. Lepiej zredukować robotników i zmniejszyć produkcję niż obniżyć ceny.

Demokracja made in Japan

JAPONIA przeszła ostatnio inflację wyborczą. Odbyły się wybory do rad gminnych, miejskich i do obu izb parlamentu. Zainteresowanie wyborami było stosunkowo niskie: 50 procent udziału wyborców w wyborach samorządowych i 68 procent w wyborach parlamentarnych... Zwycięstwo odniosły stronnictwa zachowawcze, które choć noszą nazwę partii liberalnej i demokratycznej zamierzały połączyć się w jedno stronnictwo oficjalnie nazwane konserwatywnym. Ponad połowa nowowybranych posłów należy do klanu reakcyjnych polityków, którzy od początku okupacji usiłują przypodobać się gen. McArthurowi. Poważny sukces poza reakcjonistami odniosła jedynie partia socjal-demokratyczna, zyskując jedną trzecią mandatów.

Jeden z korespondentów amerykańskich, Pakenham, stwierdza że wielu wyborców zwracało się do Amerykanów z zapytaniem jak — zdaniem władz okupacyjnych — winni głosować. Korespondent ten uważa, że jest to dowód poważnych postępów na drodze do demokracji jakie poczyniła Japonia.

Nowe miasto na Kaukazie

W odległości 25 kilometrów od Tyflisu powstaje nowe miasto, które nazywa się Rustawi. Powstaną tu huty i walcownie, w których węgiel Gruzji będzie przetapiał rudy Azerbejdżanu. Program produkcyjny hut ma obejmować zaopatrzenie fabryk samochodów i maszyn przemysłowych na terenie Gruzji, produkcję rur dla naftociągów i opakowań blaszanych dla przemysłu konserwowego. Planuje się przerabianie: 430.000 ton żelaza, 500.000 ton stali i tyleż blachy żelaznej.

Już obecnie nad wznoszeniem fabryk i domów mieszkalnych pracuje 20.000 robotników pod kierunkiem kilkuset inżynierów.

W czasie robót natrafiono przypadkowo na ślady dawnego miasta gruzińskiego Bostan i zabezpieczono wartościowe wykopaliska.

Niemcy — USA

PRASA amerykańska doniosła niedawno, żekoncern „General Motors", największy producent samochodowy, postanowił przekazać wszystkie zamówienia na części zamienne, pochodzące z Europy, do wykonania zakładom „Opla" w brytyjskiej strefie Niemiec. Zakłady te wchodziły przed wojną w skład koncernu „General Motors".

W Stanach Zjednoczonych daje się odczuć brak złomu żelaznego, który jest niezbędny dla produkcji stali. Amerykańskie koła przemysłowe wysunęły przeto projekt sprowadzenia około 600.000 ton złomu z Niemiec. Do pracy użytoby niemieckich batalionów roboczych. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie okoliczność, że napewno w tym wypadku wzgląd „na konieczność odbudowy przemysłu niemieckiego" nie wpłynie na decyzję, chociaż Niemcom złom jest równie potrzebny dla zamierzonej produkcji eksportowej, która ma rzekomo pokryć koszty przywozu żywności.

Rewelacje „Tygodnia" o Ewie Braun

OGŁOSZONE w zeszłym numerze „Tygodnia" rewelacje o Ewie Braun wzbudziły zainteresowanie prasy zagranicznej. Korespondenci warszawscy prasy brytyjskiej, amerykańskiej, francuskiej odbyli konferencję z redakcją „Tygodnia" informując się o szczegółach oraz osobach informatorów, którzy dostarczyli naszej redakcji wiadomości. Natychmiast poszły w świat depesze, które wzbudziły już zainteresowanie na obu półkulach. Niewątpliwym skutkiem tych ech będą poszukiwania dalszych osób, które wiedzą coś o losach Ewy Braun po jej rzekomej śmierci, oraz dalsze rewelacje, które przyczynią się być może do jęcia Ewy Braun, o ile ona rzeczywiście żyje, i kto wie, czy nie wyświetlą zagadki śmierci Hitlera.

O wiadomościach tych nie omieszkamy poinformować czytelników „Tygodnia".

Nędza nauczycieli w Ameryce

ZAWÓD nauczycielski jest niewątpliwie najbardziej upośledzonym zajęciem inteligenckim na świecie W Stanach Zjednoczonych zarobki nauczycieli szkół powszechnych są niższe od zarobków robotniczych. Odnosi się to przede wszystkim do stanów południowych i centralnych. Ale nawet w przemysłowej Pennsylwanii sytuacja nie jest lepsza. Nauczyciel w osiedlu górniczym zarabia 40 dolarów tygodniowo, gdy przeciętny koszt utrzymania rodziny wynosi 60 dolarów. Dlatego też nauczyciele uciekają się do zajęć ubocznych, takich jak np. portiera, w nocnym lokalu. Żony nauczycieli pracują jako robotnice. Jeżeli zaś nie mają zawodu, zdarza się, że zostają kucharkami w restauracjach.

Ważnym źródłem dochodów nauczycieli są zajęcia wakacyjne. Oto mała lista: pomocnik szofera, robotnik w fabryce samolotów, pomocnik ślusarza na stoczni...

Czy wolno się dziwić temu stanowi rzeczy, jeżeli nauczycielstwo nie wywalczyło sobie jeszcze prawa do należenia do powszechnie uznanego związku zawodowego? Wobec tego, że szkoły powszechne należą do gmin wiejskich i miejskich, w każdym osiedlu musi być stoczona walka o prawo zrzeszania się do zbiorowej obrony interesów nauczycieli.

Wojna trwa jeszcze..

...dla szeregu drobnych grup żołnierzy japońskich rozrzuconych na wyspach Palau na Pacyfiku. W początkach maja marynarka amerykańska wzmocniła patrole na wodach tych wysp celem wykrycia i zlikwidowania oddziałów japońskich.

Większy oddział na wyspie Peleliu poddał się dopiero w końcu kwietnia br. po trwającej kilka tygodni kampanii radiowej prowadzonej za pomocą supergłośników. Japończycy uwierzyli, że wojna skończyła się już blisko dwa lata temu, dopiero gdy usłyszeli słowa zapewnienia z ust jednego z admirałów japońskich.

NA ŚWIĘTO LUDOWE

Demokracja daje wsi nowe życie i kulturę



Uniwersytet Ludowy w Pawłowicach mieści się w dawnym majątku ziemskim i liczy 53 uczniów. Na uniwersytet może wstąpić każdy po ukończeniu szkoły powszechnej. Kurs trwa pół roku. Nauczanie odbywa się metodą dyskusyjną. Na zdjęciu występ zespołu amatorskiego uczniów Uniwersytetu Ludowego.

Ostrze na ostrze

A kiedy „Dzień odrabiania lekcji"?

— Przecież dzieci powinny się uczyć — skarżyła się siedząca obok mnie w tramwaju nauczycielka swojej sąsiadce.

— Kiedy siedzę na katedrze i wykładam lekcję, niektórzy uczniowie patrzą na mnie nic nie widzącymi i nie rozumiejącymi oczyma... Nie zwracają uwagi na lekcje, bo właśnie w tej chwili ich myśli i wyobraźnię zaprząta sprawa najbliższej akademii czy obchodu!

Sąsiadki moje długi czas rozprawiały na ten temat z doskonałą jego znajomością. Mówiły także o przeciążaniu nauczycielstwa wszelkiego rodzaju „organizowaniem" i „urządzaniem", o przyczynach i skutkach braku czasu na opracowanie lekcji i uzupełnienie własnych braków w wykształceniu.

Wysiadając już z tramwaju, jedna z nich dorzuciła:

— Przydałoby się tak, jak zakazano urządzania bankietów, albo jak KCZZ przeniosła obchody majowe z dnia pracy na niedzielę, ograniczyć w szkołach ilość uroczystości i rozmaitych „dni"...

Wydaje mi się, iż jest to uwaga słuszna. Oczywiście jest rzeczą pożyteczną i potrzebną, aby dorastającej młodzieży zwracać uwagę na różne problemy naszego życia. Nie każdy jednak „Dzień Lasu", „Morza" czy „Powietrza" wymaga urządzania specjalnej akademii dużym nakładem kosztów i cennego czasu. Wystarczyłaby krótka pogadanka, odpowiednie dostosowanie tematów, czytanek i wypracowań. W ważniejszych wypadkach — zwiedzenie odpowiedniego muzeum czy obejrzenie filmu.

Świetlica szkolna, kółka samokształceniowe, zebrania kół organizacji młodzieżowych, mogą i powinny znakomicie zastąpić ewentualne przerosty tych szkolnych „galówek". Wszystkie te uroczystości „z okazji" i „ku czci" — podkreślam, jakkolwiek pożyteczne i wychowawcze — nie mogą i nie powinny odbierać młodzieży szkolnej czasu i sił, potrzebnych dla nauki. Zarówno bowiem wychowanie, jak nauka są celem naszej nowoczesnej szkoły i równowaga ta nie może być w żadnym wypadku zachwiana. Jeśli w którejkolwiek szkole dzieje się źle, jest sprawą Ministerstwa Oświaty stan ten zbadać, stosując odpowiednie środki zapobiegawcze.

Zdarzyć się w przeciwnym razie może już wkrótce, iż zajdzie konieczność organizowania od czasu do czasu specjalnych, uroczystych „Dni powszedniej nauki i pracy".

AVIS

Stefan Barszczewski

W IMIĘ PRAWDY

W związku z obecną sytuacją gospodarczą pojawiło się na łamach prasy szereg głosów, dyskutujących nad oceną sytuacji i jej przyczynami i metodami zapobieżenia groźnym jej skutkom. W dyskusji tej szczególnie ostro atakowana jest spółdzielczość, przy czym większość ataków skierowana jest pośrednio lub bezpośrednio na Związek „Społem". W dyskusji tej nie może zabraknąć głosu spółdzielczego, choćby dlatego że należy wysłuchać i drugą stronę, aby w przekonaniu opinii publicznej nie ustaliła się zbyt jednostronna ocena stanu faktycznego.

Wbrew podnoszonym zarzutom „Społem" i spółdzielczość może poszczycić się bardzo poważnymi wynikami pracy. W okresie, w którym państwo w pełni współpracowało ze spółdzielczością, nakładano na aparat spółdzielczy szereg obowiązków, które również całkowicie zostały wykonane. Ramię w ramię z państwem pracowała spółdzielczość nad realizacją świadczeń rzeczowych. Związek „Społem" skupił wówczas w okresie 1944/45 673.000 ton zboża i 864.000 ton ziemniaków. W latach 1945/46 600.000 ton zboża i 883.000 ton ziemniaków.

Po zniesieniu świadczeń rzeczowych, kiedy na rynku zbożowym zapanowała wprowadzona przez państwo polityka całkowicie wolnego handlu z udziałem wielu aparatów nawzajem ze sobą konkurujących lub partyzancko oddziaływujących na rynek zbożowy, jak P. C. H., Centrale Aprowizacyjne Przemysłu Państwowego, C. W. T. Kolei Państwowych i inne, aparat „Społem" zdołał skupić 170.000 ton zboża na ogólną kwotę ca 500.000 ton zboża ponad spożycie ludności rolniczej. 170.000 ton to nie jest 24.000 ton, jaką to cyfrą posługiwano się w ocenie działalności aparatu spółdzielczego.

Nadto — i co jest najważniejsze — trzeba powiedzieć, że w warunkach przedwojennych regularnej podaży zbóż, dużych nadwyżek zbożowych, aparat hurtowy, skoncertowany wokół giełd zbożowych mógł zakupić tylko 20% ogółu zboża rzucanego na rynek miejski. „Społem" zakupiło w sezonie 1946/47 do 1 marca 1947, t. j. do chwili kiedy zerwano z wolnym handlem zboża, 170.000 ton, t.zn. przeszło 30% ogółu zboża rzuconego na rynek miejski. W świetle tego można stwierdzić, że zrobione zostało wszystko, co było możliwe do wykonania, i że nikt poza aparatem spółdzielczym nie jest i nie był zdolny do podobnego wysiłku i analogicznych osiągnięć. Trzeba nadto stanowczo podkreślić, że w tym okresie Związek „Społem" nie korzystał z podobnej pomocy państwa, jaką cieszył się w okresie świadczeń rzeczowych i że postulaty jego nie były brane pod uwagę, a aparat „Społem" stawiany był nieraz wobec zarządzeń, nieliczących się z możliwościami gospodarczymi rynku zbożowego.

Zarzucano również „Społem" — że zbyt dużo pracuje z odbiorcami prywatnymi. Użyło do tego cyfr wycinkowych i nieskontrolowanych co do ich słuszności. Udział odbiorców prywatnych w obrotach komercyjnych i wolnorynkowych „Społem" zmniejsza się z miesiąca na miesiąc, osiągając w marcu 1947 r. 28%, lecz jeżeli wyłączy się z tego obrotu artykuły rozprowadzane przez „Społem" w wykonaniu umów z państwem, które zakładały również udział odbiorców prywatnych w dystrybucji, procent udziału odbiorców prywatnych przedstawia się znacznie skromniej, w wysokości ca 21%. Przed wojną zaś, a więc wtedy gdy atakowano „Społem" za to, iż nie pracuje z aparatem prywatnym, udział odbiorców prywatnych w obrotach „Społem" wynosił 22,1% czyli że obecny ich udział kształtuje się na poziomie przedwojennym przy znacznie zwiększonym zakresie działania Związku „Społem" oraz przy niezakończonej jeszcze rozbudowie detalicznego aparatu spółdzielczego, co powodowało w pewnych przypadkach konieczność posługiwania się zdrowym aparatem prywatnym.

Fakt ten został zresztą uznany przez państwo, a nawet proponowano „Społem" ze strony Ministerstwa Przemysłu i Handlu objęcie pewnych ilości odbiorców prywatnych w stały system dystrybucyjny. Posunięto się nawet do przytoczenia — jako dowód niespółdzielczego działania Związku „Społem" — obrotów wydziału handlu zagranicznego, w których 100% mieli mieć odbiorcy prywatni. Są to jednak obroty eksportowe, a więc wydział handlu zagranicznego z natury rzeczy musiał pracować z zagranicznymi odbiorcami, którymi — nie z winy „Społem", lecz układu handlu zagranicznego w krajach odbierających nasz eksport — były wyłącznie firmy prywatne.

Akcja „Przemysł dla wsi" rozprowadzana jest w 100%-ch przez spółdzielnie, rozwój obrotów szlachetnych jest głównym zadaniem całego aparatu „Społem", ostatnia zaś uchwała Związku „Społem" i Związku Rewizyjnego poleca wszystkim placówkom spółdzielczym pracę wyłącznie ze spółdzielniami, zrywając całkowicie z obsługą rynku prywatnego.

Rozwój obrotów wolnorynkowych „Społem" w ciągu roku 1946 wykazuje 14-krotne powiększenie tej grupy obrotów, a więc wskazuje dostatecznie na koncentrację wysiłków spółdzielczych na odcinku zaopatrzenia mas w artykuły pierwszej potrzeby. Niewątpliwie można byłoby rozprowadzić jeszcze więcej, ale Związek „Społem" mógł pracować tylko w ramach przydziałów, jakie uzyskiwał w przemyśle państwowym, problem zaś zaopatrzenia konsumenta miejskiego w mąkę i chleb nie da się rozwiązać bez załatwienia sprawy młynarstwa prywatnego, całkowicie niekontrolowanego, w przeciwieństwie do młynów „Społem" i spółdzielczych, które to młynarstwo prywatne, omijając ustalone przez państwo normy przemiałowe — opanowało rynek miejski.

Nikt nie zarzuci spółdzielczości, bo zarzucić nie może, że stosowała ona ceny niezgodne z ustalonymi. W tych zaś przypadkach, gdy ceny wyznaczone przez Fundusz Aprowizacyjny, np. jeśli chodzi o zboże, lub przez Komisje Cennikowe, jeżeli chodzi o inne artykuły pierwszej potrzeby — okazały się gospodarczo nieuzasadnione, spółdzielczość była wyłączona automatycznie z rynku, oddanego całkowicie na pastwę spekulacji. Wówczas znów całą winę przerzucano na spółdzielczość, ponieważ najłatwiej było ją zaatakować.

Właśnie dział dystrybucji artykułów monopolowych, z której to dystrybucji dokonywanej na zlecenie państwa znów czyni się zarzut spółdzielczości, wykazuje, że tam, gdzie spółdzielczość posiada pełne zaufanie czynników państwowych, gdzie w wyniku tego zaufania oddało się spółdzielczości niemal całkowitą dystrybucję tych artykułów, spekulacja tymi artykułami załamywała się natychmiast, nie tylko dlatego, że państwo posiadało produkcję zdolną przeciwstawić się każdemu nawet zwiększonemu popytowi, lecz właśnie dlatego, że aparat spółdzielczy sprawnie i tanio umiał te artykuły rozprowadzić. W dzisiejszych warunkach gospodarczych, trwających nadal jeszcze w dużych trudnościach transportowych i wysokich związanych z tym kosztów, żadna instytucja nawet państwowa nie będzie zdolna rozprowadzić te artykuły taniej. Prowizja aparatu spółdzielczego sprowadzona jest do minimum i stanowi najniższą marżę kalkulacyjną ze stosowanych w obrocie towarowym. Na marginesie należy dodać, że obroty artykułami monopolowymi nie wynoszą 51 proc. ogółu obrotów „Społem", lecz dosięgają 40 proc., w czym coraz większy udział posiada sprzedaż tytoniu.

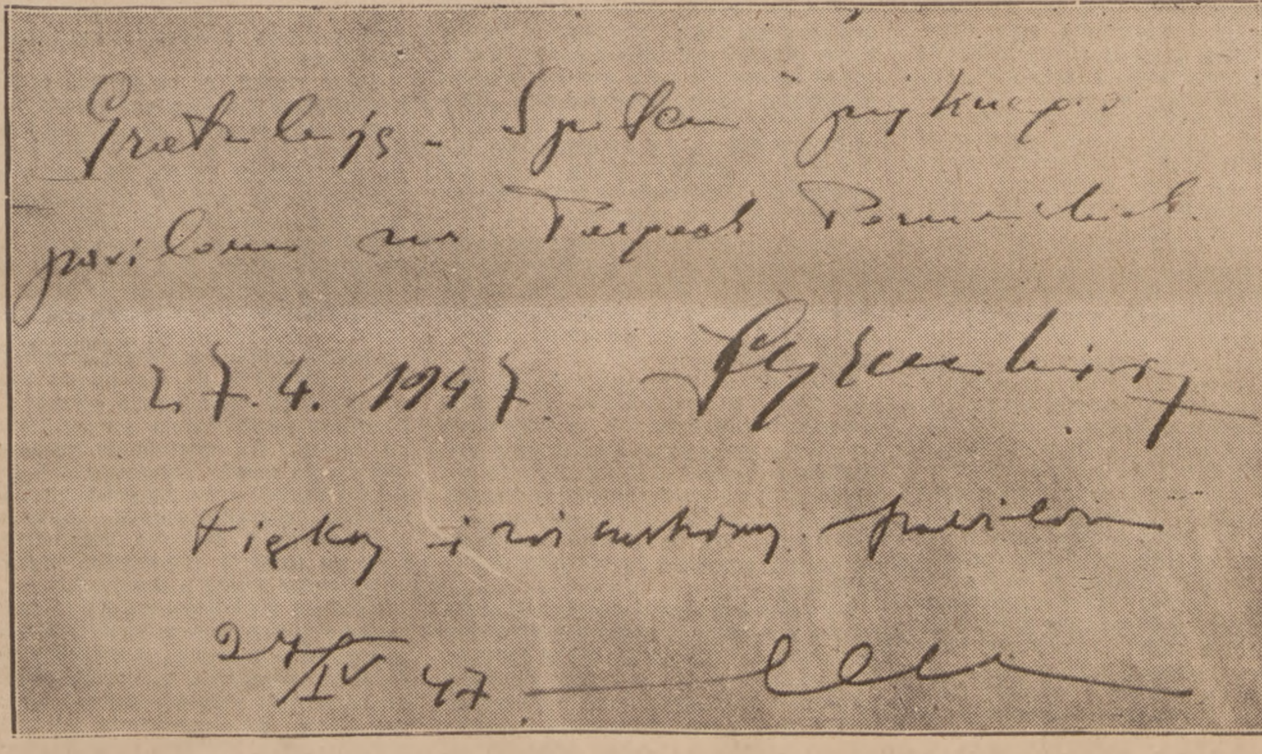
Tak wyglądają fakty, w świetle których należy obiektywnie oceniać działalność aparatu spółdzielczego. Ważniejsza od tych faktów jest ocena sytuacji. W roku gospodarczym 1946/47 mieliśmy do czynienia, wbrew początkowym ocenom, z poważnym deficytem zbożowym, wskutek czego podaż na rynek musiała być niedostateczna. Surowa zima i następujące po niej klęski elementarne, jak powódź i obecna susza, mogą postawić również pod znakiem zapytania naszą samowystarczalność w zakresie zbóż chlebowych w przyszłym roku gospodarczym.

W wytworzonej w ten sposób sytuacji będziemy się musieli liczyć z dalszymi próbami podważenia poziomu cen od strony rolniczej, zjawiska, za którym mogłoby pójść lawinowo podnoszenie cen usług i artykułów przemysłowych, co w sposób niesłychanie groźny mogłoby zaciążyć na naszej przyszłości gospodarczej, zmniejszając przede wszystkim udział świata pracy w rozdziale dochodu społecznego. Jedynym wyjściem jest więc w sytuacji niedostatecznej podaży ziemiopłodów oraz niewątpliwie jeszcze niedostatecznej podaży artykułów przemysłowych—niedostatecznej dlatego, bo nie pokrywającej potrzeb konsumcyjnych ludności—jedynym wyjściem, powtarzam, jest gospodarka reglamentowana. Trzeba skierować podaż ziemiopłodów do aparatu kontrolowanego i w ręce tego aparatu oddać również dystrybucję artykułów przemysłowych. Jest to koncepcja, stawiana szereg razy przez spółdzielczość, a nawet w części realizowana, pomimo odmiennych zaleceń czynników państwowych, koncepcja obrotów wiązanych, która prowadzi do skoncentrowania w aparacie koncesjonowanym zakupów zboża i sprzedaży artykułów przemysłowych. Tą drogą przede wszystkim możemy wydobyć ziemiopłody na potrzeby aprowizacji gwarantowanej i tą drogą również doprowadzić potrzebne dla produkcji i konsumcji wiejskiej artykuły przemysłowe. W ten sposób jedynie w okresie najbliższym możnaby pewne w zasadzie niezbyt duże ilości zboża wydostać od producenta rolnego i przygotować grunt do znormalizowanej podaży w przyszłym okresie gospodarczym. Daje to nam z jednej strony pewność uzyskania odpowiedniej ilości zbóż na zaopatrzenie świata pracy, z drugiej strony zaś daje gwarancję zaopatrzenia wsi, usuwając objaw przeciekania towarów przemysłowych na rynki inne, poza rolnicze. Oczywiście wielotorowość, stosowana dzisiaj na tym odcinku, musi zniknąć. Akcję tę prowadzić może tylko jeden aparat pod dyspozycją i kontrolą państwa.

Wysuwa się więc zagadnienie, który z istniejących aparatów może to zadanie wziąć na siebie. Proponuje się stworzenie nowego aparatu państwowego. Na tle doświadczenia z dotychczasowym aparatem państwowym w tej dziedzinie, jakim była Państwowa Centrala Handlowa, która również przeprowadzała skup zboża, możemy stwierdzić już dzisiaj, że nie ma gwarancji, aby aparat ten zdał egzamin. Dotychczasowa rola P.C.H. w skupie zboża sprowadzała się raczej do akcji prowadzenia polityki zakupów za wszelką cenę, bez stosowania się do limitów ustanowionych przez Fundusz Aprowizacyjny, wbrew nawet ustalonym przez niego w akcjach specjalnych relacjom wymiany zbóż na artykuły przemysłowe. W woj. pomorskim P.C.H., wbrew ustalonej premii Funduszu Aprowizacyjnego równającej się 100 kg węgla za 1 q zboża, której trzymało się „Społem", dawała 250 kg węgla za 1 q zboża, podbijając w ten sposób cenę i eliminując uczciwy aparat spółdzielczy z rynku. To jedno. Gdyby zaś nawet można było uniknąć błędów, w jakie obfitował aparat Państwowej Centrali Handlowej, należy wszakże stwierdzić, że powołanie i organizacja nowego aparatu państwowego handlu zbożem pociągnąć za sobą musi znaczne koszty rzędu paru miliardów złotych, a co najważniejsze aparat ten będzie musiał sięgnąć do tego samego zapasu sił ludzkich i gospodarczych, z jakich korzysta i jakimi pracuje ruch spółdzielczy. Pewne jeszcze wady w organizacji aparatu spółdzielczego będą mogły być usunięte znacznie mniejszym wysiłkiem i znacznie mniejszym kosztem, gwarantując wydajne użycie istniejącego elementu ludzkiego sił fachowych, którego w naszych warunkach pomnożyć nie możemy. Należy także podkreślić, że wprowadzenie aparatu państwowego pociągnie za sobą rozbicie dotychczasowych wysiłków aparatu spółdzielczego przez wbicie klina między Związek Gospodarczy Spółdzielni a spółdzielnie terenowe. Może w ten sposób dojść do załamania się pracy spółdzielczości i do likwidacji jej dotychczasowych osiągnięć, co za tym idzie likwidacji jej roli społeczno - gospodarczej w gospodarce narodowej naszego kraju. Nie może to być jednak celem kierowników polityki gospodarczej Polski Ludowej.

(Dokończenie na stronie 4-ej)

PREM. CYRANKIEWICZ I MIN. MINC O PAWILONIE „SPOŁEM"



Po zwiedzeniu pawilonu „Społem" na Tar gach Poznańskich, premier Cyrankiewicz i min. Minc wpisali się do księgi pamiątkowej, oceniając twórczy wysiłek spółdzielczej centrali

„Gratuluję „Społem" pięknego pawilonu na Targach Poznańskich" — Cyrankiewicz

„Piękny i wielostronny powilon" — H. Minc.

WIELKIE WYBRZEŻE UCZYNI Z POLSKI PAŃSTWO MORSKIE

MINISTER ADAM RAPACKI O PERSPEKTYWACH ROZWOJOWYCH PORTÓW POLSKICH

Uzyskanie wielkiego wybrzeża morskiego po raz pierwszy w dziejach otwiera przed nami możliwość uczynienia z Polski państwa morskiego w pełnym tego słowa znaczeniu. Zmusza nas to jednocześnie do rostrzygnięcia szeregu kwestii, koniecznych, żeby przystosować wybrzeże wchodzące przed tym w skład innych organizmów gospodarczych do potrzeb naszego obszaru. Słusznie zagadnienie morza i żeglugi postawione zostało na poziomie odrębnego resortu, czego wyrazem jest stworzenie osobnego ministerstwa żeglugi. Pierwszym ministrem wyodrębnionego Ministerstwa Żeglugi został Adam Rapacki, ekonomista, działacz i publicysta gospodarczy i spółdzielczy.

Wysiannik „Tygodnia" przeprowadził z ministrem Rapackim rozmowę, w której poruszone zostały najbardziej aktualne zagadnienia wybrzeża.

Oto treść tej rozmowy:

Rozbudowa wybrzeża to przede wszystkim zagadnienie jego głównych portów: Szczecina, Gdyni i Gdańska oraz portów pomocniczych. Główne zadanie portów to przeładunek naszego podstawowego artykułu eksportowego— węgla. Pod tym też kątem musimy rozpatrywać ważność i kolejność zagadnień.

WCHODZIMY W OKRES PLANU DŁUGOFALOWEGO

Trzeba stwierdzić, że mamy już poza sobą pierwszy okres prowizorycznego łatania najbardziej palących potrzeb doraźnych. Najpierw trzeba było uruchomić ten port, który nadawał się do uruchomienia bez większych inwestycji, tak żeby zapewnić krajowi szybką dostawę artykułów pochodzących z pomocy UNRRA oraz zakupionych za granicą transportów żywności, z drugiej zaś strony umożliwić wywóz węgla, którym płaciliśmy za najbardziej niezbędne dla życia ludności artykuły.

Takim portem był Gdańsk, stosunkowo najmniej zniszczony. Gdańsk zadanie to wypełnił.

Przechodzimy z kolei do następnego etapu. Ujmujemy go w podwójnej perspektywie. Z jednej strony — wykonanie trzyletniego planu odbudowy, z drugiej — realizacja szerokiej koncepcji wybrzeża powiązanego z całokształtem mechanizmu gospodarczego i komunikacyjnego Polski. Tutaj już trzeba było wziąć pod uwagę Szczecin, który z uwagi na swoje położenie nad Odrą, stanowiącą główną arterię żeglugi śródlądowej w Polsce, jedną z ważniejszych w Europie posiada wielkie możliwości rozwojowe.

SZCZECIN — PORT PRZYSZŁOŚCI

Zachodziło jednak pytanie czy możemy już sobie pozwolić na poświęcenie większego wysiłku Szczecinowi z uwagi właśnie na wykonanie planu trzyletniego. W związku bowiem z włączeniem Szczecina do systemu gospodarczego Polski nasuwa się konieczność obrócenia całej sieci kolejowej obsługującej port w kierunku południowo-wschodnim. Również należało rozważyć możliwości w zakresie odbudowy mostów zarówno w samym Szczecinie jak i na jego zapleczu. Poprzednie — za czasów niemieckich — ustawienie sieci komunikacyjnej Szczecina przystosowane było do obsługi przemysłu miejscowego dalej — rejonu Berlina, oraz Odry, która jednakże nie posiadała w systemie niemieckim tego znaczenia, które będzie posiadać obecnie. Odra niemiecka odcięta była granicą od przemysłowej doliny Warty od polskiej części Śląska. Obecnie wiąże z Bałtykiem całe zagłębie śląskie, przemysł rolniczy Wielkopolski, w niedalekiej zaś przyszłości po wybudowaniu kanału dunajskiego stanie się również linią komunikacyjną dla handlu morskiego Czechosłowacji oraz Bałkanów.

W dzisiejszym układzie o charakterze Szczecina, jako portu rzeczno-morskiego decyduje Odra. Cały tedy system komunikacyjno-przeładunkowy portu musi być nastawiony na tę rzekę. Tu należy dodać, że Odra jest tak znakomicie zainwestowaną drogą komunikacyjną, iż żadna inna droga w Polsce nie może się z nią porównać. Jednakże ze względu na zniszczenie taboru rzecznego — posiadamy zaledwie 2 tysiące barek w porównaniu do 80 przed wojną — nie da się jeszcze obecnie w pełni wykorzystać zwłaszcza wobec braku holowników. Czy tedy istniejące przeszkody nie wpłyną hamująco na wykonanie planu trzyletniego, czy wobec jego doraźnych potrzeb nie należałoby znowu odłożyć pełnego uruchomienia portu szczecińskiego na czas późniejszy?

PRZESTAWIENIE WĘZŁA KOLEJOWEGO

Szczegółowe konsultacje na miejscu doprowadziły do wniosku, iż według wszelkich danych sprawa kolejowa nie będzie czynnikiem hamującym przeładunek, przewidziany w planie trzyletnim. Przestawienie węzła kolejowego nie wymaga wielkich inwestycyj i umożliwia osiągnięcie w ciągu trzylecia przeładunku około 5 milionów ton.

Następnym zagadnieniem jest samo zainwestowanie portów. Nadbrzeże i baseny w stanie obecnym są zupełnie wystarczające, poza tym istnieją duże możliwości dalszej jeszcze rozbudowy nadbrzeża. Konieczne jest uzupełnienie dźwigów, głównie dźwigów pływających, których zastosowanie pozwoli obejść się bez dalszych inwestycji nadbrzeża.

Na razie wprowadza się do użycia dźwigi jakie są do dyspozycji z tytułu importu i reparacji. W przyszłości starać się będziemy o dźwigi możliwie najbardziej nowoczesne i wydajne.

Wobec tego zapadła decyzja szybkiego uzupełnienia urządzeń Szczecina i przystosowania go do oczekujących zadań.

Śmiało rzec można iż Szczecin przez przyłączenie do Polski robi wielką karierę stając się portem europejskim podczas, gdy dotychczas był portem o zasięgu raczej lokalnym.

NAPŁYW NOWEJ LUDNOSCI

Rozwój portu szczecińskiego spowodować musi nowy napływ ludności do Szczecina, przede wszystkim elementu fachowego, żeglarskiego i obsługi portowej. W ten sposób Szczecin zmieni swój charakter z ośrodka handlowo-administracyjnego na portowy i żeglarski. Trzeba dodać że miasto posiada warunki na przyjęcie znacznej jeszcze ilości mieszkańców, bez dokonywania podstawowych inwestycji. Gdybyśmy chcieli doprowadzić do napływu nowej ludności do Gdyni i Gdańska, które duszą się już w swoich warunkach mieszkaniowych, musielibyśmy dokonać znacznych inwestycji w postaci wybudowania całych dzielnic mieszkaniowych, na co nas w tej chwili nie stać. Tymczasem Szczecin posiada wiele jeszcze niewykorzystanych budynków, które przy niewielkich stosunkowo remontach mogą być zamieszkane.

Głównymi artykułami przeładunku w porcie szczecińskim będzie nasz węgiel eksportowy oraz ruda importowa dla polskiego przemysłu.

GDYNIA I GDAŃSK PODWOJĄ PZEŁADUNKI

Niezależnie od rozwoju Szczecina port Gdynia — Gdańsk będzie musiał podwoić swoją zdolność przeładunkową w przeciągu najbliższego trzylecia i dojść do 11 milionów ton. Port ten będzie przeznaczony głównie dla drobnicy, artykułów rolnych oraz również dla węgla.

Te dwa porty — to równolegle soczewki skupiające naszą aktywność morską.

Należy jeednak powiedzieć parę słów o małych portach: Kołobrzegu i Ustce, które w szybkim czasie będą również przystosowane do przeładunku węgla dla mniejszego tonażu. Możliwości tych portów sięgają zaledwie w setki tysięcy ton, ale ich uruchomienie wpłynie poważnie na usprawnienie wielkich portów, odciążając je od kłopotliwego, drobnego tonażu.

Tak tedy rozwiązujemy zagadnienia wybrzeża nie z punktu widzenia lokalnych interesów poszczególnych miast czy portów ale w szerokiej perspektywie całości nowej, z morzem powiązanej struktury Polski, oraz w dalekiej perspektywie dziejowej.

STARZY I MŁODZI PIONIERZY MORZA

Wykonanie tych zadań posiadających znaczenie na dziś i na dalekie jutro uwarunkowane jest przede wszystkim pracą, zapałem i zdolnościami ludzi, których wybrzeże potrzebuje coraz więcej. Poprzedni okres kiedy realizowaliśmy nasz program morski w stosunkowo niewielkim zakresie mając do dyspozycji mały skrawek wybrzeża i jeden port, ten miniony okres wykazał, iż potrafimy zdobyć się na udzi, zdolnych do wykorzystania istniejących możliwości.

Trzeba wierzyć, iż wypróbowana kadra polskich pionierów morza pomnoży się nowymi zastępami, które ożywią porty, żeglugę morską i staną się żywą krwią organizmu polskiego wybrzeża.

Wywiad przeprowadził Marek Sadzewicz.

W IMIĘ PRAWDY

(Dokończenie ze str. 3-ej)

W przeciwieństwie więc do stawianego programu ograniczenia zasięgu pracy zorganizowanego aparatu spółdzielczego, spółdzielczość stawia tezę pełnego wykorzystania sił i organizacji tego aparatu. Deklaruje ze swej strony całkowitą gotowość współpracy z państwem aparatu spółdzielczego w postaci 100 hurtowni wojewódzkich, 300 hurtowni powiatowych, 15.000 sklepów detalicznych do wspólnej akcji o uzdrowienie rynku. Pragnie, aby aparat spółdzielczy, jego doświadczenia, były w całej pełni wykorzystane przez państwo. Spółdzielczość stoi bowiem na stanowisku, że jedynie aparat spółdzielczy, działając ściśle z sektorem państwowym, może w oparciu o istniejącą organizację gwarantować eliminację wszelkich elementów spekulacyjnych z obrotu towarowego. Mogą i muszą być stworzone dla aparatu spółdzielczego tego rodzaju warunki pracy, by mógł on spełnić pokładane w nim nadzieje, wykonać wzięte na siebie zobowiązania. Deklarując i gwarantując wzmożenie wydajności pracy aparatu spółdzielczego, spółdzielczość domaga się jednak równocześnie, by została uwzględniona w całej pełni w zakresie postulatów rozbudowy aparatu spółdzielczego w detalu, odpowiedniego udziału hurtu spółdzielczego w rozdzielnictwie towarów produkowanych przez przemysł państwowy oraz przydzielenia odpowiednich środków finansowych na rozbudowę urządzeń technicznych i funduszu obrotowego spółdzielni. Tylko w ten sposób, wspólnym wysiłkiem państwa i spółdzielczości w akcji zwalczania drożyzny i spekulacji, doprowadzimy do uporządkowania wymiany towarowej i do pełnego zaopatrzenia klas pracujących.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ NA FRONCIE WALKI ZE SPEKULACJĄ

Przedstawiciel „Tygodnia" zwrócił się do prezesa „Społem" posła Jana Żerkowskiego z prośbą o naświetlenie sytuacji gospodarczej z punktu widzenia spółdzielczości, oraz roli sektora spółdzielczego w zwalczaniu spekulacji.

— Muszę zacząć — zagaja prezes Żerkowski — od oceny sytuacji gospodarczej. Charakteryzuje się ona dużymi trudnościami, które mogą być przezwyciężone tylko przez zgodny wysiłek wszystkich czynników do tego powołanych.

Wskutek ciężkiej zimy i związanych z nią trudności komunikacyjnych nastąpiło daleko idące rozregulowanie obrotów towarowych. Ustanie dostaw zbożowych UNRRA, wymarznięcie znacznych ilości zbóż ozimych oraz szkody spowodowane przez powodzie, przyczyniły się do zohamowania podaży zbóż.

Zmniejszenie podaży przy nieustającym popycie na zboże wywołało również dalsze objawy paniczne na rynku i rozpętało falę spekulacji, której praktyk nie można już usprawiedliwić przyczynami gospodarczymi. Jako klasyczny przykład przytoczę sprawę zapałek i cukru. Oba artykuły rozprowadzone były w ilościach przewyższających normalne, nawet przedwojenne spożycie, a mimo to dawał się zauważyć brak tych artykułów, oraz ciągle, nieusprawiedliwione zwyżkowane ceny. Wyjaśnić to można tylko praktykami spekulantów, którzy robili zakupy w celu gry na zwyżkę. Energiczna akcja interwencyjna „Społem" przyczyniła się do załamania akcji spekulacyjnej na tym odcinku, jednakże jesteśmy w dalszym ciągu świadkami nieusprawiedliwionego wzrostu cen artykułów pierwszej potrzeby.

Aparat spółdzielczy działał i działa interwencyjnie w miarę posiadanych rezerw i środków pozostawionych mu do dyspozycji, jednakże jego możliwości potencjalne nie mogły dorównać oczekującym zadaniom.

Spółdzielczość przeprowadziła cały szereg akcji interwencyjnych, jak akcja towarów włókienniczych w większych ośrodkach miejskich, wymieniona już akcja zapałczana i cukrowa. Były to akcje udane i przyniosły wyniki w rozmiarach odpowiadających ich zakresowi.

Wskazuje to, że aparat spółdzielczy może i powinien być w pełni wykorzystany.

My spółdzielcy deklarujemy całkowitą gotowość naszego aparatu w postaci stu hurtowni wojewódzkich, 300-tu hurtowni powiatowych i 15 tysięcy punktów sprzedaży detalicznej do rozwinięcia pełnej akcji o wyeliminowanie spekulacji i uzdrowienie rynku. Aparat spółdzielczy jest jedynym, który może wypełnić to zadanie, posiadając z jednej strony dostateczną elastyczność i rozbudowę terenową, z drugiej odpowiednie przygotowanie fachowe i poziom moralny ludzi, co gwarantuje, iż w obrotach spółdzielczych jakiekolwiek momenty spekulacyjne nie odgrywają roli.

Zdaję sobie sprawę iż akcja walki ze spekulacją nie może być dokonana przez spółdzielczość samą bez współdziałania z sektorem państwowym. Współdziałanie to powinno być oparte na wyraźnie zarysowanych liniach podziału pomiędzy obydwoma sektorami. Przez to będziemy mogli uniknąć wielotorowości, która przyczyniła się do dezorganizacji rynku. Jedność działania jest szczególnie potrzebna dziś na odcinku zbożowym, gdzie dokonywanie zakupów przez różne i konkurujące ze sobą aparaty działać może niekorzystnie na rynek i cenę. Pamiętać zas należy, że właściwie jedynym aparatem zorganizowanego skupu są placówki spółdzielcze „Społem" i spółdzielnie rolnicze, przez które przechodzi conajmniej połowa zboża w zakupach hurtowych.

Jest rzeczą konieczną porozumienie się spółdzielczości z państwowym aparatem handlowym w akcji zwalczania drożyzny i spekulacji, która jest akcją wspólną.

Każda spółdzielnia rolnicza wzmoże akcję skupu zboża i innych ziemiopłodów na potrzeby aprowizacyjne, podporządkowując się ogólnej polityce zbożowej państwa i dyrektywom centrali spółdzielczej.

Jeżeli chodzi o szczególne zadania spółdzielczości w tym względzie to zwracam uwagę, iż każda placówka spółdzielcza niską i słuszną ceną reguluje ceny na miejscowym rynku. W celu niedopuszczenia do praktyk spekulacyjnych wezwaliśmy spółdzielnie, żeby artykuły największego zapotrzebowania, jak zboże, mąka, masło, jaja, materiały włókiennicze, rozprowadzały tylko na rynek spółdzielczy, a więc placówki związkowe — spółdzielniom, spółdzielnie — członkom spółdzielni. Wezwaliśmy również spółdzielnie do rozwinięcia intensywnej akcji werbowania członków w kierunku powiększenia zorganizowanego rynku. We wszystkich powiatach odbędą się narady przedstawicieli spółdzielni wespół z przedstawicielami wydziałów aprowizacyjnych, związków zawodowych i Związku Sam. Chłopskiej w sprawie wspólnych wysiłków w kierunku walki z drożyzną.

Wreszcie wielotysięczna kadra pracowników spółdzielczych organizuje swoje wysiłki w kierunku zwiększenia wydajności rozumiejąc, że wzrost produkcji, potanienie obrotów jest najważniejszą drogą przezwyciężenia trudności gospodarczych, wzrostu dochodu społecznego i jednostkowego. Przez powiększenie zaopatrzenia mas pracujących, spółdzielczość pragnie się przyczynić do zwyżki realnego poziomu płac.

KAROL MAŁCUŻYŃSKI

Tajemnica „DAKOTY"

Uprzejmy, ale nieubłagany portier budzi nas o wpół do szóstej rano. Trzeba się zbierać do drogi, samolot do Warszawy odlatuje o siódmej, lotnisko Wnukowo, oddalone jest od Moskwy o przeszło 30 km.

Jesteśmy potężnie niewyspani. Wczoraj jeszcze pracowaliśmy — jak zwykle — do późnego wieczora, no a potem i kolacja się długo przeciągnęła. Pożegnalna przecież. W olbrzymiej restauracji hotelu „Moskwa" zmienialiśmy tego wieczoru stoliki z pięć razy. Odbywał się normalny, dziennikarski ceremoniał pożegnalny — wymieniamy adresy i bilety wizytowe z kolegami amerykańskimi, francuskimi, angielskimi, z Czechami. Żegnamy się z jedynym dziennikarzem bułgarskim, który nas bawił przez sześć tygodni swoją gestykulacją. Proszę sobie wyobrazić, że mówiąc „tak", kiwał jednocześnie przecząco głową, a gdy mówił „nie", czynił ten ruch, który u nas uchodzi za potakiwanie. Usiłował nas przekonać, że takie są zwyczaje w Bułgarii. Bezskutecznie próbowaliśmy naśladować go, okazało się to niemożliwe. Automatyzm gestów był silniejszy. Niech zresztą ten, kto nie wierzy, sam spróbuje.

Wróciliśmy do naszych pokojów późną nocą. Nie wiem, czy przespaliśmy choćby ze trzy godziny. Ale trudna rada. Trzeba wstawać. Samolot nie będzie czekał.

Na lotnisko!

Punktualnie o szóstej zajeżdża po nas samochód „Intourista". Olbrzymi luksusowy „ZIS", najnowszej produkcji sowieckiej, podobny w typie do wielkich limuzyn amerykańskich. Znamy już te maszyny. Na czas konferencji przydzielono kilkadziesiąt wozów do użytku członków delegacji i korespondentów. Wynajmowaliśmy je na godziny (40 rubli za godzinę) i wiemy już że trzeba się w takim wozie umieć zachować. Na ścianach rozmieszczono najróżniejsze przyciski i guziczki. Oprzesz się nieostrożnie o jeden z nich — słyszysz leciutki szmer i otwiera się boczne okno, naciśniesz inny — między tobą a szoferem zasuwa się powoli szyba .Tuż obok masz przycisk, który uruchamia ukryty w ścianie piecyk elektryczny, inny guzik odkrywa automatyczną popielniczkę.

Ładujemy się do ZIS'u i ruszamy. Zatłoczone zwykle i tak ruchliwe ulice Moskwy są o tej porze jeszcze puste. Chociaż to koniec kwietnia, ranek jest mroźny; gdy dojeżdżamy do przedmieść, widzimy na dachach szron. Po trzech kwadransach jazdy docieramy do Wnukowa.

Na lotnisku wre już ruch, olbrzymi megafon wywołuje co pewien czas pasażerów do Stalingradu, do Leningradu, do Berlina. Przechodzimy do poczekalni, a po chwili do sali rewizji celnej. Choćiaż rewizja ma charakter formalny i nie jest uciążliwa, trwa dosyć długo, gdyż czeka na nią wielu pasażerów. Skracamy sobie czas rozmową z przyszłymi towarzyszami podróży.



Samolot śmierci

Jeden z nich ma mocno zaniepokojoną minę, dowiedziawszy się, że lecimy „Dakotą". Tyle się już napisało o „latających trumnach", „samolotach śmierci". Cała prasa światowa nie zaniedba ani jednej okazji, aby wystraszyć pasażerów nieszczęsnych „Dakot". Nic więc dziwnego, że wśród tych, którzy mają za chwilę wsiąść do tego „potwora", wywiązuje się nie bardzo entuzjastyczna rozmowa na ten temat.

Jest wśród nas jeden lotnik i on to rzuca mimochodem parę zdań, które wyjaśniają nam „tajemnicę „Dakoty".

— Niech mi panowie powiedzą, w jaki sposób mają ulegać katastrofom inne samoloty, kiedy ich na liniach pasażerskich prawie nie ma. Przeszło 85 proc. ruchu lotniczego na świecie obsługują właśnie „Dakoty". Niektóre kompanie i niektóre kraje korzystają wyłącznie, w stu procentach z Dakot. Katastrofy lotnicze zdarzają się zawsze. Dzisiaj ulegają im, oczywiście, „Dakoty" — jako najwięcej, a w niektórych rejonach wyłącznie używane.

W dalszej rozmowie dowiadujemy się, że w miarę narastania psychozy dokoła „Dakot" wiele linii zaczęło używać wybiegów, uspokajając swych klientów, że polecą innym samolotem. Podawano różne nazwy, by tylko zataić groźne słowo „Dakota". A przecież na tej licencji i na tym typie pracuje szereg fabryk na świecie, można więc było, podając nazwę fabryki nie wymieniając zaś typu, uspokoić pasażera, nie obciążając jednocześnie sumienia kłamstwem.

Pytamy naszego towarzysza o przyczynę wzrostu ilości wypadków w ostatnim okresie. Kładzie on ją na karb złej konserwacji maszyn, braku dozoru, używania niedoszkolonego personelu. Twierdzi, że ciężka sytuacja gospodarcza po wojnie skłania wiele towarzystw do robienia oszczędności na częściach zapasowych, na urządzeniach zabezpieczających itd. W wielu krajach odczuwa się brak części wymiennych, pneumatyków itd. Zużyte maszyny z demobilu eksploatuje się powyżej granic dopuszczalnych w normalnych warunkach. Wszystko to zwiększa być może współczynnik niebezpieczeństwa.

— Ale najwięcej, drodzy panowie, zdziałaliście wy — zwraca się z uśmiechem do nas, dowiedziawszy się, że jesteśmy dziennikarzami. Zaczęliście niesłychanie dokładnie notować wszystkie katastrofy na całym świecie, wyszukiwaliście skrupulatnie wypadki i w Chinach i na Saharze i w Brazylii i pod biegunem. Podawaliście od miesięcy wszystkie te katastrofy, które dawniej przeszłyby niezauważone. Wyciągnęliście je na pierwsze strony, opatrzyliście zdjęciami, ozdobiliście wykrzyknikami i tłustym drukiem. Dodajmy do tego powracające wciąż słowo „Dakota" — a macie już gotową legendę.

Miły był nasz rozmówca i bardzo przekonywująco mówił, ale nie powiem by w naszym poczuciu „współczynnik bezpieczeństwa" był bardzo wysoki, gdyśmy siadali do maszyny.

Była 7.40. Maszyna podchodziła na start.

Nie spodziewajcie się barwnego opisu podróży powietrznej, opowiadań o locie nad chmurami, o blaskach słońca i o tym, że ziemia oglądana z góry ma kształt wklęsłej miski. Wiedzą dziś o tym niemowlęta, zanim jeszcze nauczą się chodzić. Aby zaś nikt o tym nie zapomniał, autorzy napowietrznych reportaży powtarzają to z przedziwnym uporem w 90 wypadkach na sto, dodając nieuniknioną uwagę, że przy wirażu horyzont się zatacza i „podchodzi pod skrzydło".

Podróż lotnicza jest bardzo monotonna, szczególnie jeśli dopisuje pogoda. Ponieważ tak właśnie było owej niedzieli — czym zresztą szczerze mówiąc mało kto z nas się martwił — lecieliśmy więc spokojnie i już po niedługim czasie pasażerowie zaczęli sobie podchrapywać lub, — co żwawsi — jeść jajka na twardo. Jak to słusznie zauważył jeden z naszych znakomitych felietonistów (bodajże Makuszyński) podróż powoduje nieuchronnie ogromne wzmożenie apetytu, ze skierowaniem go właśnie w kierunku jajek na twardo. Okazuje się przy tym, że środek lokomocji nie odgrywa roli zasadniczej.

Lecimy szlakiem wojny. Przelatujemy nad Wiaźmą, Smoleńskiem, Orszą. Dolatujemy do Mińska.

Nad Polską

Tutaj zaczęły się kłopoty. Nasza „Dakota" roztańczyła się w powietrzu i pohuśtała nas zdrowo. Miała przy tym niemiły zwyczaj zapadania się od czasu do czasu w dziury powietrzne, co każdorazowo wzbudzało żywe zainteresowanie tego pasażera, który przed odlotem manifestował swoją nieufność do samolotu typu „Dakota".

Na dobre rozhuśtaliśmy się nad Polską. W związku z tym sąsiad z prawa zaczął utyskiwać, że „w tej Polsce, psiakość, wciąż niepewna atmosfera, sąsiad zaś z lewa stwierdził z melancholijnym spokojem:

— No, oczywiście. Już się zaczęły przysłowiowe polskie drogi.

Dolatujemy do Warszawy. Oglądamy z góry żałosne resztki mostów, które stały tu jeszcze w chwili naszego wyjazdu, sześć tygodni temu.

W środku miasta przestrzeń, która robi wrażenie jakiegoś usypiska śmieci, lub raczej olbrzymiego placu zasłanego cegłą i gruzem. To ghetto. Po raz pierwszy zrozumiałem dobrze sens wyrażenia „zrównane z ziemią".

W samolocie jest z nami jeden z zagranicznych korespondentów i jeden Polak, który Warszawę opuścił w roku 1939. Warto było odbyć tę całą podróż, by zobaczyć ich twarze w chwili, gdy spoglądali z samolotu na Warszawę. Tego się łatwo nie zapomina .

Obaj milczeli. Dopiero w chwili, gdy samolot obniżał się nad Okęciem zagraniczny korespondent ocknął się:

— To tym się płaci za frazes o mieście, które jest „sumieniem świata". — powiedział bardzo powoli.

Gdy wchodziliśmy do komory celnej, spojrzeliśmy na zegar. Była godzina 10.40. Rachunek się nam nie zgadzał, lecieliśmy przecież pięć godzin

Ah, prawda. To dwugodzinna różnica czasu między Moskwą a Warszawą. Cofnęliśmy zegarki. I w ten sposób, w komorze celnej na Okęciu odzyskaliśmy te dwie godziny życia, które straciliśmy przekraczając pod Brześciem granicę polsko — sowiecką. Zyskaliśmy także odkrycie tajemnicy „Dakoty".

Ostatnie dni Hitlera

(Na podstawie dokumentów wywiadu brytyjskiego i amerykańskiego, Międzysojuszniczej Komisji Alianckiej i Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze).

(Ciąg dalszy)

I. on sobie wyobrażał Samobójstwo w Berlinie było przymusowe. Od śmierci nie było ucieczki. Dokąd? Można ją było odroczyć tylko. Tak więc Hitler, pozostając w Berlinie, nie poświęcał swego życia, kładł tylko głowę pod topór, który prędzej czy później musiał ją uciąć: Wybór momentu to już zasługa Ewy Braun, która wiedziona kobiecym instynktem i manią samobójczą (patrz pamiętniki), odradziła Hitlerowi planowaną ucieczkę. O odwadze Hitlera pisze John Gunther w „Inside Europe":

„Jego odwaga fizyczna jest wątpliwa. Kiedy on i jego ludzie zostali w czasie puczu monachijskiego ostrzelani, rzucił się na jezdnię tak gwałtownie, że złamał ramię". O jego niezrównoważeniu fizycznym pisał: „Jego zdolność do samookłamywania sie jest niezwykła jak u wszystkich fanatyków. Tak, na przykład rzeczywiście wierzył w to i był zupełnie „szczery", gdy w wywiadzie z „Daily Mail" oświadczył, że rewolucje hitlerowskie kosztowały tylko dwadzieścia sześć żyć ludzkich. W momencie, gdy to mówił, wierzył w to absolutnie".

Ale wróćmy do testamentu: „Uczyniłem zbyt wiele ofert — pisze dalej Hitler — ograniczania zbrojeń i kontroli nad nimi, aby przyszłe generacje długo mogły to pomijać i aby można mnie było obciążyć odpowiedzialnością za tę wojnę. Dalej, nigdy nie życzyłem sobie, aby po pierwszej straszliwej wojnie światowej przyszła druga przeciw Anglii i Ameryce".

Trudno to ostatnie zdanie na pierwszy rzut oka skomentować. Że chciał wojny, to nie ulega wątpliwości. Prawdą jest natomiast, iż bał się wojny z Anglią i Ameryką. Nie życzył sobie, ale prowokował i ryzykował. Było w tym coś nieodpowiedzialnego. Posłuchajmy, w jaki sposób wódz, w którego rękach leżały losy jego narodu, który wojnę przygotował i wywołał, przyjął wiadomość o wypowiedzeniu mu wojny przez Anglię. Cytujemy zeznania osobistego tłumacza Hitlera, dra Otto Schmidta, dotyczące momentu gdy ambasador brytyjski wręczył Hitlerowi w dniu 3 września 1939 r. wypowiedzenie wojny...

„Zapanowała grobowa cisza. Hitler siedział w fotelu w głębokiej zadumie, po czym zwrócił się do Ribbentropa z zapytaniem: „Cóż my teraz uczynimy?" Przywódcy partyjni byli niesłychanie przygnębieni. Goebbels oświadczył: „Jeżeli przegramy tę wojnę, to, Boże, zlituj się nad nami". I cóż do tego obrazka dodać? Czytajmy dalej: „Miną wieki, lecz z ruin naszych miast i pomników kultury będzie na nowo wyrastała nienawiść do tych, którzy ją spowodowali.

„Są ludzie, którym możemy za to podziękować — międzynarodowe żydostwo i ich pomocnicy.

„Na trzy dni przed wybuchem wojny niemiecko - polskiej zaproponowałem ambasadorowi brytyjskiemu w Berlinie rozwiązanie zagadnienia niemiecko-polskiego w sposób podobny, jak została rozwiązana sprawa Zagłębia Saary, które pozostawało pod kontrolą międzynarodową.

„Nie będzie można zaprzeczyć i tej ofercie. Odrzucona została wyłącznie dlatego, ponieważ klika polityków rządzących Anglią pragnęła wojny, częściowo ze względu na interesy handlowe, częściowo ponieważ była pod wpływem propagandy międzynarodowego żydostwa".

Co ta propozycja była warta, wiemy już z przemówienia do naczelnych dowódców wygłoszonego cztery dni przedtem. Hitler nie przypuszczał, że Anglia pójdzie na wojnę. Miał pogardę do demokracji zachodnich, jak i do inteligentów.

Powiedział: „Jest rzeczą bardzo możliwą, że Zachód nie będzie interweniował. Musimy przyjąć ryzyko tego postanowienia". Zaryzykował. Przegrał. Lecz w testamencie napisał, iż wojnę wywołała klika Anglików i Żydów. Zdumiewający dokument. Ale to jest przecież ten sam człowiek, o którym pierwszy naczelny dowódca armii niemieckiej — von Brauchitsch w zeznaniach przed komisją aliancką powiedział:

„Ponieważ Hitler publicznie oświadczył, że byłby idiotą, gdyby wpakował się w wojnę światową z powodu polskiego korytarza, ja, jak też inni generałowie wierzyliśmy niezachwianie, że Hitler nie myślał na serio o użyciu siły".

„Ja dałem wyraźnie do zrozumienia, że jeżeli narody Europy będą znów użyte jako pionki w rozgrywce wywołanej przez zakonspirowaną międzynarodówkę pieniądza i finansów, wtedy Żydzi, rasa będąca rzeczywistym winowajcą tej morderczej walki, będą obarczeni odpowiedzialnością za nią.

„Nie pozostawiłem cienia wątpliwości, że tym razem będą ginąć nie tylko miliony dzieci europejskich Aryjczyków.

„Nie tylko miliony aryjskich mężczyzn znajdzie swą śmierć i nie tylko setki tysięcy aryjskich kobiet i dzieci zostanie spalonych i zbombardowanych w miastach, lecz tym razem prawdziwi winowajcy będą musieli zapłacić za swoje zbrodnie.

„Po sześciu latach wojny, która pomimo wszystko przejdzie pewnego dnia do historii jako najwspanialsza i najbardziej bohaterska manifestacja walki narodu o swój byt i egzystencję, nie mogę opuścić miasta, które jest stolicą państwa.

„Ponieważ siły nasze są zbyt małe, ażeby przeciwstawić się dłużej atakom wroga i obrona nasza będzie powoli łamana przez ludzi, którzy są jedynie ślepymi maszynami, chcę dzielić los z milionami innych, którzy wzięli go na siebie przez pozostanie w tym mieście".

Ta chęć dzielenia jest, jak wiemy, już kłamstwem, gdyż Hitler — jeśli idzie o jego pomysły — planował ucieczkę. Trzy tygodnie zaledwie dzieli jego pragnienie ucieczki od „chęci dzielenia losu z milionami innych". Dzień, w którym uległ perswazjom Ewy Braun, był zarazem dniem, w którym dostał ataku nerwowego (22 kwiecień).

„Nie wpadnę w ręce wroga — pisze dalej Hitler — który chce zrobić przedstawienie, ukartowane przez Żydów dla odwrócenia uwagi shisteryzowanych mas.

„Zdecydowałem przeto pozostać w Berlinie i znaleźć tu dobrowolną śmierć w momencie, w którym, jak sądzę, nie można dłużej utrzymać stanowiska Führera i Kanclerza. Umieram z sercem przepełnionym radością będąc świadom niezliczonych czynów i sukcesów naszych żołnierzy na froncie, naszych kobiet w domu, sukcesów naszych chłopów i robotników i jedynego w swym rodzaju na przestrzeni całej historii wkładu naszej młodzieży, która nosiła moje imię.

„To, że ja składam im z głębi mego serca podziękowanie, jest tak jasne, jak i to, że życzę im, ażeby nie zaprzestali walki pod żadnym pozorem i w żadnych warunkach, ale żeby prowadzili ją, gdzie się tylko da przeciw wrogom ojczyzny. Z poświęceń naszych żołnierzy i z tego, że wytrwałem z nimi w koleżeństwie aż do śmierci, odrodzi się pewnego dnia w historii Niemiec w całej swojej wspaniałości ruch narodowo - socjalistyczny, który stworzy prawdziwą jedność narodu. Wielu dzielnych mężczyzn i wiele dzielnych kobiet zdecydowało wytrwać ze mną do ostatka. Prosiłem, a potem rozkazałem im, ażeby nie czynili tego, lecz aby prowadzili nadal walkę narodu.

„Prosiłem dowódców Armii, Floty i Lotnictwa, by wszystkimi dostępnymi środkami wzmogli u naszych żołnierzy ducha oporu zgodnie z ideologią narodowo - socjalistyczną; żeby specjalnie podkreślili fakt, iż ja sam, założyciel i twórca ruchu, wolałem śmierć, aniżeli tchórzliwą rezygnację, a nawet kapitulację.

„Niech stanie się w przyszłości punktem honoru niemieckiego oficera, jak jest to już w naszej Flocie, że poddanie jakiegoś obszaru czy miasta, jest wykluczone i że dowódca, ponad wszystko inne musi świecić przykładem wiernego oddania, aż do śmierci".

Całość tej części testamentu robi nieodparte wrażenie rozczulania się nad swoją śmiercią i przypisywania jej olbrzymiego znaczenia. Nie przyjął tej śmierci po prostu. Musiał ją zagrać. Pomyślmy o śmierci wielu polskich przywódców w czasach konspiracji: umierali, pisząc o tym (jeśli mogli) w słowach skąpych, wstydliwych. To byli prawdziwi ludzie. Okrzyk Starzyńskiego rzucony przez radio w czasie obrony Warszawy z roku 1939: — „Niemcy, kłamiecie!" — był okrzykiem usprawiedliwionym. Wódz Niemców był również kłamcą, duchowo małym człowiekiem, który nie umiał umrzeć spokojnie.

Przechodzimy teraz do drugiej części testamentu.

II.

„Przed moją śmiercią wykluczam z partii byłego marszałka Goeringa i cofam wszystkie uprawnienia, które mu przysługiwały z tytułu dekretu z 29 czerwca 1941 roku i które wynikały z mojego przemówienia w Reichstagu 1 września 1939 r.

Na jego miejsce mianuję admirała Doenitza prezydentem Rzeszy — głównodowodzącym sił zbrojnych. Przed moją śmiercią wykluczam z partii i odbieram wszystkie stanowiska państwowe byłemu szefowi SS i ministrowi spraw wewnętrznych, Heinrichowi Himmlerowi.

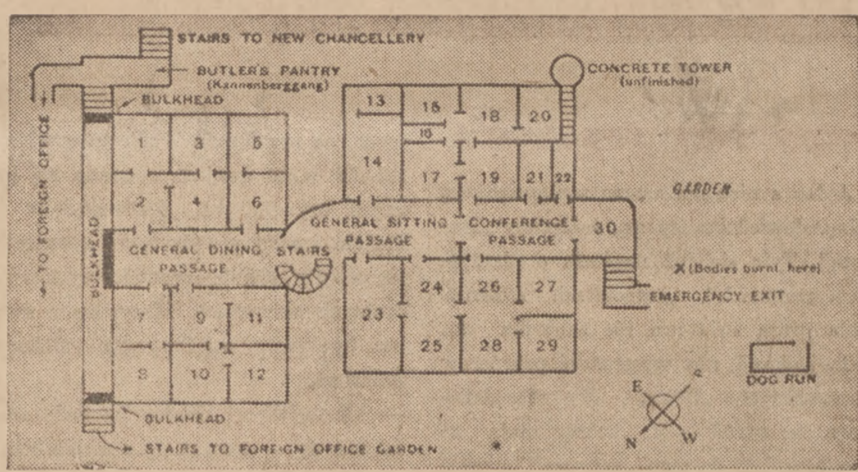
Na jego miejsce wyznaczam jako szefa policji niemieckiej Gauleitera, Karl Henke, a jako ministra spraw wewnętrznych Gauleitera Paul Geislera.

Goernig i Himmler, pomijając już ich nielojalność do mnie, sprowadzili na kraj i cały naród przez sekretne pertraktacje z nieprzyjacielem bez mojej wiedzy i wbrew mojej woli, a także przez nielegalne próby objęcia władzy nad państwem — niepowetowaną hańbę.

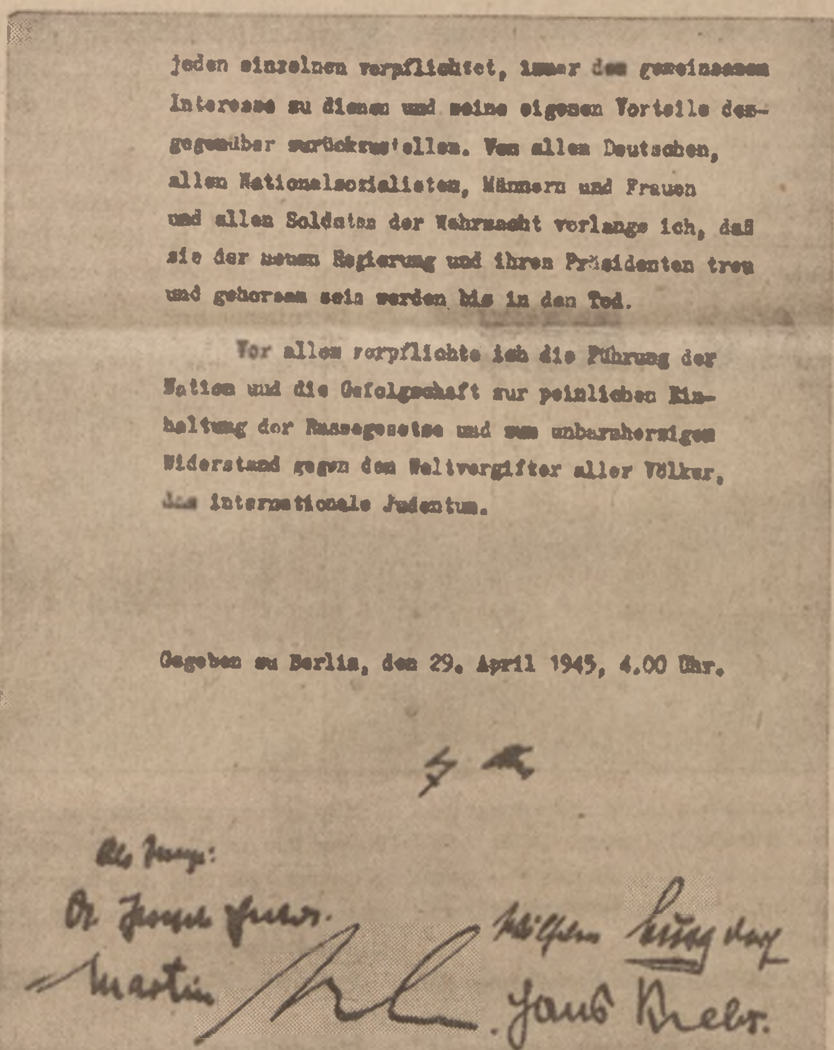
Ażeby dać narodowi niemieckiemu rząd złożony z ludzi uczciwych, którzy wypełnią swój obowiązek prowadzenia nadal walki przy pomocy wszystkich dostępnych środków, jako kierowników narodu, wyznaczam następujących członków nowego gabinetu:

prezydent Goebbels,
minister partii — Bormann,
minister spraw zagranicznych — Seyss-Inquart,
minister spraw wewnętrznych — Gauleiter Geisler,
minister wojny — Doenitz,
główno - dowodzący armią — Schoerner,
głównodowodzący lotnictwa — Grene,
szef SS i szef policji niemieckiej — Gauleiter Hanke,
minister przemysłu — Funk,
minister rolnictwa — Bancke,
minister sprawiedliwości — Trierack,
minister kultury — dr. Scheel,
minister propagandy — dr Neumann,
minister skarbu — Schwerin - Crosigh,
minister pracy — dr Hubveer,
minister zbrojenia — Saur,
przywódca niemieckiego frontu pracy

(Dokończenie w następnym numerze)



Plan „bunkru" w którym Hitler zakończył życie



jeden einzelnen verpflichtet, immer dem gemeinsamen Interesse zu dienen und seine eigenen Vorteile demgegenüber zurückzustellen. Von allen Deutschen, allen Nationalsozialisten, Männern und Frauen und allen Soldaten der Wehrmacht verlange ich, daß sie der neuen Regierung und ihrem Präsidenten treu und gehorsam sein werden bis in den Tod.

Vor allem verpflichte ich die Führung der Nation und die Gefolgschaft zur peinlichen Einhaltung der Rassegesetze und zum unbarmherzigen Widerstand gegen den Weltvergifter aller Völker, das internationale Judentum.

Gegeben zu Berlin, den 29. April 1945, 4.00 Uhr.

Fotograficzna odbitka ostatniej karty politycznego testamentu Hitlera z podpisami Goebelsa, Bormanna, Burgdorfa i Krebsa

Film TYGODNIA



Fot. Film Polski

Podpisanie aktu o ustaleniu linii granicznej między Polską i ZSRR. Od lewej: ambasador Lebiediew, gen. Bordziłowski, przewodniczący delegacji polskiej, wiceminister Żaruk-Michalski, przewodniczący delegacji radzieckiej radca Aleksandrow.

W Palestynie i rozmowy o Palestynie



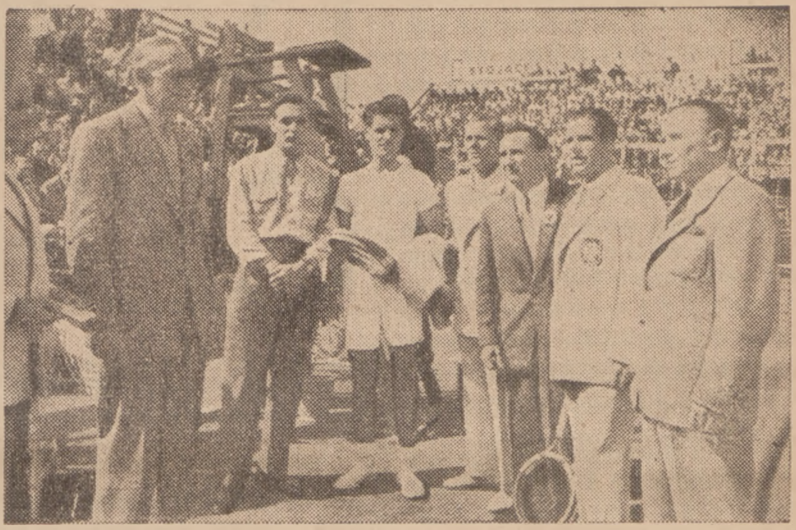
Czterech członków palestyńskiej policji, Brytyjczyków, zostało zabitych i pięć osób rannych, gdy posterunek policji w Sarona, w pobliżu Tel-Avivu w Palestynie, został wysadzony w powietrze przez żydowskich terrorystów. Terroryści, pod pozorem naprawiania telefonów, zaparkowali samochód Urzędu Pocztowego, naładowany materiałami wybuchowymi, tuż obok budynku. Wskutek wybuchu materiałów ukrytych w wozie, zniszczeniu uległ pokój służbowy i centrala telefoniczna post runku policji. NA ZDJĘCIU: Żołnierze brytyjscy wśród ruin posterunku policyjnego, zajęci usuwaniem gruzów.



Delegat brytyjski Sir Alexander Cadogan (po prawej) w rozmowie z księciem Amirem Faisal al Sand z Arabii Saudijskiej, oraz Farisem el-Khouri, delegatem Syrii, w czasie specjalnego posiedzenia Generalnego Zgromadzenia Narodów Zjednoczonych w Nowym Jorku, które rozważało problem Palestyny.

ANGLIA — POLSKA — 3:2

Mecz tenisowy o puchar Davisa w Warszawie.



Przed meczem. Stoją od lewej: kapitan drużyny angielskiej F. T. Stawe, Barton, Mottram, Hebda, Herbst — członek Zarz. P. Zw. Ten., Skonecki.

Miłośnicy białego sportu przede wszystkim, ale i miłośnicy sportu w ogóle mieli we czwartek, piątek i sobotę ubiegłego tygodnia nielada ucztę — mecz tenisowy o puchar Davisa Anglia — Polska.

Szczegółowe wyniki meczu znają już zapewne czytelnicy z prasy codziennej i sportowej. Tutaj dla przypomnienia podajemy tylko, że Anglia wygrała mecz w stosunku 3:2 ,zaś rezultaty poszczególnych gier przedstawiają się następująco:

Mottram — Hebda 2:6, 6:1, 6:1, 6:3.
Skonecki — Barton 6:3, 7:5, 13:11.
Paish, Butler — Skonecki, Hebda 6:2, 6:4, 6:3.
Hebda — Barton 3:6, 6:2, 6:4, 4:6, 6:4.
Mottram — Skonecki 6:4, 6:2, 7:5.

Tenis, ongiś rozrywka arystokratów i możnych i dziś jest jeszcze uważany przez niektórych za sport ekskluzywnego grona wybranych. Niesłusznemu temu twierdzeniu przeczą jednak fakty: tenis staje się coraz bardziej sportem szerokich mas i liczba uprawiających ten sport stale wzrasta.

Ma jednak w sobie tenis coś, co stawia go pod pewnym względem wyżej od innych sportów, a co właśnie sprawia, że nawet nieinteresujący się sportem z satysfakcją oglądają grę na korcie.

Tym „czymś" jest zachowanie się graczy i... publiczności.

Tenis bowiem nie ma w sobie ani krzty brutalności, która niestety cechuje zbyt często boks i piłkę nożną.

Publiczność zaś, choć pragnie zwycięstwa jednej ze stron, to jednak oklaskuje dobre zagrania obu przeciwników.

Te cechy tenisa są tymbardziej zrozumiałe, gdy się uprzytomni, że ojczyzną tenisa jest ojczyzna dżentelmenstwa: Anglia.

Toteż Anglia była zrazu potęgą tenisową i dopiero z czasem, gdy biały sport rozpowszechnił się na kontynencie i za oceanem, Anglii zaczęły zagrażać a nawet ją zwyciężać Francja, Stany Zjednoczone i Australia.

Okres po pierwszej wojnie światowej to okres pojawienia się światowych sław tenisowych i zaciekłych walk o puchar Davisa.

Dotychczas puchar Davisa wędrował pomiędzy Anglią, Francją, Stanami Zjednoczonymi i Australią. Państwa te dysponowały takimi światowymi mistrzami tenisa jak Amerykanie Tilden i Budge, Francuzi Cochet, Borotra i Lacoste, Anglik Perry i Australijczyk Crawford.

Po drugiej wojnie światowej w tenisie przodują nadal Stany Zjednoczone, obecny posiadacz pucharu Davisa — Australia.

W Europie zaczynają się wysuwać państwa słowiańskie: Czechosłowacja i Jugosławia, poza tym Szwecja obok dotychczasowych potęg Francji i Anglii.

Polska brała przed wojną udział w rozgrywkach o puchar Davisa, lecz niestety, nigdy poważniejszych sukcesów nie osiągnęliśmy, gdyż tenis u nas nie stał wysoko.

Toteż z drżeniem emocji oczekiwano meczu Anglia — Polska i zapowiadanego w związku z tym przyjazdu Tłoczyńskiego (przebywa on w Anglii). Były poważne nadzieje na zwycięstwo.

Niestety Tłoczyński nie przyjechał i mecz, który jak teraz można powiedzieć, wygralibyśmy na pewno, zakończył się sukcesem wyspiarzy.

Nasz reprezentant Skonecki, najlepszy gracz w kraju wykazał dobrą kondycję fizyczną, niezłą technikę i nadzieję na przyszłość. Jednak słaby serwis, brak rutyny i „serca" do gry spowodowały, że mistrz Anglii Mottram górował nad mistrzem Polski bezapelacyjnie .

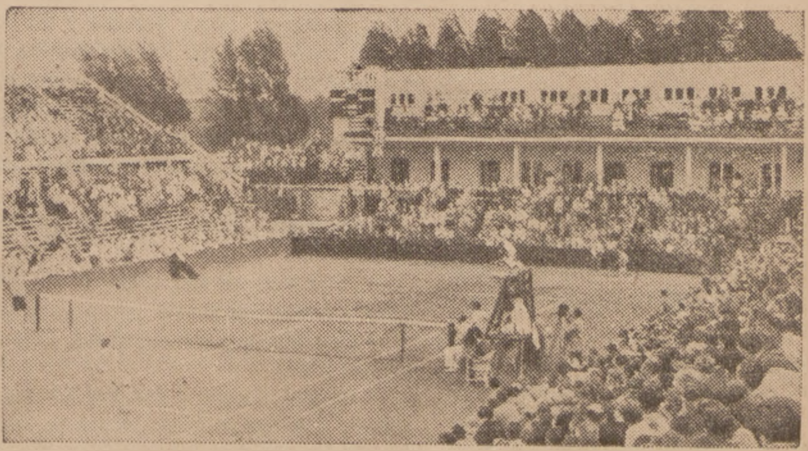
Drugi nasz reprezentant Hebda jest cieniem tego Hebdy z okresu przedwojennego. Została mu tylko rutyna i rzadkie przebłyski dawnej techniki. Brak mu zaś serwisu no i wytrzymałości fizycznej.

Piętą Achillesa Polski była gra podwójna, w której Anglicy górowali bezapelacyjnie, aczkolwiek nic nadzwyczajnego nie pokazali.

Na marginesie meczu nasuwają się wnioski na przyszłość. Chcąc do czegoś dojść w tenisie trzeba Polsce zrezygnować ze starych sław a kształcić młody narybek. Wziąć trenera i uczyć serwować, smeczować, grać przy siatce i z pół kortu, bo te rzeczy my najmniej umiemy.

A jak się nauczymy to taka reprezentacja Anglii jak obecna nie będzie dla nas groźna.

Joto.



Skonecki — Barton na korcie.

MICHAŁ RUSINEK

DZIEŃ CZEKANIA

FRAGMENT POWIEŚCI „IGRASZKI NIEBA"

(ilustrował Kazimierz Mann)

SIEDZIAŁA przy firankach i patrzyła na ołowiane niebo. Mówiła bez ruchu warg.

— Wróć mi go Boże Miłościwy, nie karaj go dalej nieszczęściem. Lada tydzień skończy się ta nieszczęsna wojna. Broń go od śmierci, jeśli nie przez wzgląd na mnie winną, to dla tego niewinnego dziecka.

Patrzyła na różową we śnie twarz niemowlęcia, na dwie niteczki warg nieco rozchylonych. Jego krótkie rączki podniesione do góry wprawiały ją w błogą radość. Zdrowe jest, jeśli tak trzyma ręce do góry, Elżunia, która umarła miała zawsze przecież opuszczone.

Zapatrzona nachyliła się ostrożnie nad dzieckiem, nie dotykała koszyczkowego łóżeczka w obawie, żeby nie zaskrzypiało.

— Snu mu potrzeba — snu jak najwięcej. Urodziło się w takich warunkach.

To znów szła cicho do kuchni, zabierała się z matką Stefy do pracy. Wałkowała ciasto. Wyrabiała masy i kremy przeróżne do tortu. Od rana do wieczora była tu praca. Smarowanie blach, podtrzymywanie ognia w piecu, wiecz-



ne pieczenie w zapachu gryzącego oleju. Było ciepło, choć duszno, ale ruch, ruch trwał w kuchence.

— Nie przeżyłabym wojny, pani Ireno — mówiła matka Stefy — gdyby nie ta praca. To nie ważne, że z tych ciastek żyjemy, ale mam zajęcie i przytym nadzieję coraz większą, że Andzia wróci.



O córeczce będącej w obozie, mówiła w tych tygodniach bez łez. Bo przecież wszystko wróżyło już koniec. Miasto było napięte nerwowością. Dziesiątki plotek chodziło już od domu do domu. Rosjanie tam, Rosjanie tu, Anglicy i Amerykanie biją na zachodzie. Byle przetrwać, może to być w styczniu jeszcze, może w lutym.

Pilnując kuchni i dziecka, Irena wychodziła rzadko z domu. Zresztą miała dotąd „kennkartę" warszawską, dowód za który szczególnie tępiono w tym mieście. Jeszcze dziś tropiono „buntowników" warszawskich, nawet w tramwaju trzeba było uważać w rozmowie.

Nie miała teraz spraw swoich na mieście, ale czasem trzeba było wyskoczyć, jak i dziś z blachą ciastek na ulicę Sławkowską. Bo Stefa nie mogła się też rozerwać, codzień szukała cukru na mieście, mąki, marmolady, bo by cała piekarenka stanęła.

Zabierała blachę z pieczywem, jeszcze patrzyła na śpiące dziecko. Niepodobne do Stacha, martwiła się, ale podobne do niej, wszyscy to mówią. Poprawiała niepotrzebnie kocyk, głaskała zapadniętą poduszkę, niepotrzebnie nieraz, bo wszystko było w porządku, ale żeby bodaj tych szmatek dotknąć na odchodne.

Szła prędko ulicą. Z tyłu za nią wiał w cichą uliczkę wiatr z błoń od kopca. Zimny i czerstwy, chociaż nie było wielkiego mrozu, zaledwie śniegiem nieco bruki przyprószone, potem uliczką Dolnych Młynów, wyboistą, znów Krupniczą i już Rynek. Jakie małe to miasto, a tak się pysznią nim krakowianie. Dawniej to i miała do nich cichą pretensję, bo i przykrość miała niejedną w sklepiku, że to z Warszawy, z powstania. Jakieś baby, którym wtenczas podkupiła masło, narzekały na powstanie, że jeszcze i tu myślą zrobić warszawiacy to samo. Mało im tam było w tej stolicy, gdzie te paniusie nosiły jeszcze w wojnę pończoszki, cienkie jak pajęczyna.

Na Rynku stały Sukiennice, paradne jak zawsze. Kościół poza nimi uderzał dumnie nierównymi wieżami w niebo. Patrząc na te zabytki doznawała zawsze uroku i niejakiego żalu. I to mogą wysadzić w powietrze, kolumny, maszkary uśmiechnięte i te wieże. Podminowane, mówili przecież wszyscy zwłaszcza brat Stefy, który przecież gdzieś pracował w podziemiu wiedział więcej niż inni.

Czołgów ani armat nie widziała na mieście. Nie przejeżdżały tu jak w Warszawie kilka tygodni przed powstaniem. Przy kiosku na linii A — B zobaczyła grupę ludzi, czytali. Jakieś wezwanie — znów plakaty wzywające całą ludność do meldowania się. Widziała dzień 15 stycznia i nic więcej, bo nie można się było docisnąć. Może jeszcze i ewakuacja i znów wywóz? Biegła prawie, lepiej nie wychodzić na miasto w kuchence przy piecu, jakby nie było już wojny.

— Na Sławkowskiej oddała w sklepie ciasta, czekała na pustą blachę z dnia poprzedniego.

Podniecona sklepikarka rozmawiała z klientką.

— Urwanie głowy, moja pani. Nie mam żadnego tłuszczu.

— Odrobinkę masła, kochana. Zawsze u pani biorę.

— Masła, paniusiu? Niczego nie mogę zdobyć, nikt nie przynosi, chowają. Przecież widzi pani co się dzieje, tu będzie druga Warszawa.

Kobieta wskazała porozumiewawczo na Irenę, każdy się przecież bał rozmowy.

— Nie — uspokajała sklepiczarka. — Można, ta pani z powstania, z Warszawy.

— A tak? U was też tak było? Te bunkry i to wszystko?

— Nie, raczej wydawało się, że się nie chcą bronić. Wiali dwa tygodnie wcześniej. No i co? Pomylili się wszyscy. Może tu będzie właśnie na odwrót.

Tak mówiła, sama myślała inaczej. I ją niepokoiły te przygotowania. Te cegły, ruch, plakaty, samochody gdzieś z wojskiem jadące.

— Czy ja wiem zresztą, droga pani. Trzeba czekać.

— Dziury w moście dębnickim borują pod dynamit. Syn widział, proszę pani. Wie pani co w kościele i w Sukiennicach?

— Wiem, podminowali.

— Boga chyba nie ma, jeśli nas zdążą powysadzać w powietrze.

Denerwowały te plotki, nie chciała już słuchać. Poprosiła o pustą blachę.

— Proszę —mówiła sklepikarka — a na jutro proszę znowu nowe pieczywo, ludzie teraz kupują.

— Jak upiec, tłuszczu i u nas nie ma. Wyszła ostatnia butelka oleju,

Szła z powrotem, mijała niemieckie sklepy. Wystawy były nieco przerzedzone, ale jeszcze dziś bogate. Widziała suknie wełniane, jakieś swetry. Nęciło po staremu spojrzeć, przymierzyć w wyobraźni, jakby to w tym było. I kołnierzyk z beżowej koronki i szeroki pasek skórzany z błyszczącą wielką klamrą.

Ale nie , to nie pora na takie grymasy. Gdzieś na rogu za oknem zobaczyła znów biały sweterek dla Małgosi, pulchniutki, właśnie na nią jak ulał.

Ale gdzież, nawet pytać nie warto, wiadomo jaka bajońska za to cena.

Oderwała się od wystawy i znów śpiesznie przez Sukiennice tym razem.

Weszła jak w ul. Szum, tłum, użeranie się przy straganach. „Tu wiecznie ten harmider —myślała — smród i handelek. na dole bród, nędza, a w górze wspaniałe gotyckie lunety. Przepędzić, przepędzić kiedyś stąd wszystko, bo tu świątynia a nie Kercelak. Ale muszą żyć", — znów się cofała w oskarżeniach, wymijała kobiety wiejskie z koszykami i o dziwo, Niemców, Niemców, było ich tu wyjątkowo dużo, o wiele więcej niż na mieście.

— Dobijają się, formalnie dobijają się do straganów z walizami i koszami.

Widziała hadlarzy rozgrzanych, mimo mrozu uwijających się pospiesznie wśród ostatnich, kołyszących się piramidek z walizami. Dobry znak, najlepszy znak, podniecała się, widać, że jednak wieją...

Ledwie wydostała się z fali, Jeszcze pod kolumną zewnętrzną przepychała się w szpalerze potajemnych handlarzy. Butle z wódką, wystające z kieszeni, małe torebki ze złotym, posuszonym siankiem tytoniu i mydło i żyletki.

— Nasza Żelazna Brama — odetchnęła, wyszedłszy już na chodnik w stronę Szewskiej. Na myśl o halach na Mirowskiej opadło ją rozżalenie, nawet cicha zazdrość. Tam teraz nawet tego nie ma.

Lubiła wchodzić z powrotem w ulicę Czystą. Tu już bezpieczniej, przy domu. Gdy zobaczyła zza rogu nie tylko dom, w którym mieszkała ze Stefą, ale przestrzeń wolną poza wylotem ulicy, gubiła w sobie nieodstępny zawsze na mieście lęk przed legitymowaniem. Miała jeszcze tylko tę warszawską nieszczęśliwą kennkartę. Co więcej szeroki powiew błoń, wchodzących w ulicę, dodawał nieokreślonej otuchy. Jakby, tu, bliżej niewidocznego kopca Kościuszki, czuła się bliżej wolności, bliżej stęsknionego szczęścia, spokoju przede wszystkim.

(Dalszy ciąg na str. 11-ej)



Stefania Grodzieńska

MĘŻCZYZNA

Panna Ewa właśnie zakładała świeży arkusz papieru do maszyny, kiedy rozległo się pukanie.

— Proszę — powiedziała i spojrzała w kierunku drzwi.

Ukazała się w nich osóbka, do której najlepiej pasowałoby określenie „fertyczna”.

Panna Ewa zlustrowała ją od stóp do głów i zobaczyła w następującej kolejności: zamszowe pantofle kształtu końskiego kopyta z dziurawą piętą („dwadzieścia tysięcy”) — oceniła pobieżnie — nylony („pięć tysięcy, chyba, że okazyjnie” — pomyślała), sukienkę w lila szałaputki („stuprocentowy milanowski ręcznie malowany, kupon trzydzieści tysięcy”) oraz kapelusz („francuski filc, trzy tysiące”). Osoba, która wniosła tę garderobę do gabinetu kierownika, usiadła na krześle, zakładając wysoko nogę na nogę. („Komplet z francuskiej żorżety, dwa i pół metra po pięć tysięcy” — westchnęła panna Ewa).

— Pani sobie życzy? — spytała.

— Czy jest pan kierownik? — pisnęło luksusowe dziewczę z nieustającą kokieterią.

— Nie ma. Pani w jakiej sprawie?

— W osobistej. Gruntownie i absolutnie.

Panna Ewa nagle wstała od biurka.

— Czy... pan kierownik wie, że pani miała przyjść?

Dziewczę zaśmiało się srebrzyście.

— Rzeczywiście! Tylko tego brakuje! Powiedział, że jak mu się kiedy pokażę w biurze, to mi tak powie do słuchu, że jej! Ale ja mam ważną sprawę, więc myślę sobie — będzie ,co będzie. Później się będziemy przepraszać!

— A więc to pani... — powiedziała cicho panna Ewa.

— Co ja?

— Pani jest tancerką w „Tivoli” tak? Panna... Reta Arbo?

— Aha! Patrzcie, od razu mnie pani poznała! Chociaż pani, to nie wygląda na taką, co się po lokalach włóczy.

— Pierwszy raz panią widzę.

— Hecaż ty moja! I skąd pani wie, że to ja?

— Znam panią... z opowiadania.

— No?! Ciapek opowiada o mnie?

— Kto?

— Ciapek. No ten... pan kierownik.

— Nie. Inni mi mówili. Jego znajomi.

— Hecaż ty moja! I co mówili?

Pannę Ewę opuściło dotychczasowe opanowanie

— Opowiadali — zawołała — że on przez panią przesiaduje ciągle w tym lokalu... Że przez panią opuszcza się w pracy... A to przecież człowiek o wielkim znaczeniu! Z jego zdaniem liczą się w najpoważniejszych sprawach!

— A pani co taka cięta? — zapytała osoba o skromnym pseudonimie Rety Arbo. Co on pani? Brat? Swat?

— Ja... Ach, jeżeli już tak się stało, że pani tu przyszła, chcę z panią pomówić. Może panią to zdziwi...



Panna Ewa zlustrowała ją od stóp do głów

— Co ma dziwić? Mało to już miałam z kobitkami odtańcówek? No już, niech pani wali.

— Niech pani spróbuje pomyśleć o tym wszystkim bezstronnie. To jest człowiek poważny...

— Kto? Ciapek? Też pani wymyśliła! Drugiego takiego bałaganiarza nie znam, jak Boga mego. Jak przyjdzie do lokalu i sobie jeszcze porządnie podalkoholi... Rany Julek, jak on rozrabia!

— Jak pani o nim mówi! Proszę porzucić ten ton!

— Pani! Nie ma pani do niego przypadkiem mięty? — pisnęła panna Reta Arbo, mrużąc lewe oko.

— Czego?

— Mięty. No tego... uczucia.

— Jeśli już postanowiłam z panią pomówić, chcę być szczera. Tak. Kocham go. I on mnie kocha. I wszystko było dobrze do chwili, kiedy poznał panią. Nie mogę powiedzieć, żeby się zmienił w stosunku do mnie. Ale to mu pochłania czas i pieniądze. Psuje mu opinię. Ja wiem, że on tylko mnie kocha...

Rozległo się pukanie i do pokoju wtoczyła się osoba z dwiema walizkami i pudłem od paczek UNRRA. Wyglądała jak stara charakterystyczna aktorka, grająca ciotkę z prowincji.

— Dzień dobry — sapnęła — czy tu urzęduje pan kierownik?

— Tak jest — odpowiedziała panna Ewa. — Pani w jakiej sprawie?

— W rodzinnej.

— Pana kierownika w tej chwili nie ma.

— Nie szkodzi. Poczekam. Widzi pani, przyjechałam właśnie z domu, prosto z dworca idę. Dwadzieścia godzin w podróży. Chociaż zupełnie dobrze się jechało. Nie narzekam, nie. A panie niech sobie nie przeszkadzają. Ja sobie podjem, herbatki się napiję. Termosik jest, kanapeczki, a jakże. Może panie pozwolą?

Ciotka wyjęła zapasy z pudła UNRRA, rozłożyła serwetkę i zaczęła się ostro pożywiać.

— No, z tą spokój, jedźmy dalej, bo umieram z ciekawości — rzekła zniżonym głosem piękna Arbo. — Więc pani mówi, że on taki poważny? Hecaż ty moja! Przecież nie wie, o kim się mówi — dodała na znaki panny Ewy, która jej pokazywała ciotkę. — Wal pani, wal!

— No więc dobrze. Chciałabym, żeby pani zrozumiała, że to nie ze względu na mnie. Ale to człowiek o olbrzymim autorytecie... Nieraz hałas w biurze, nieporządek... A on wejdzie, spojrzy tylko tak po swojemu i nagle cisza, każdy zawstydzony...



A może panie pozwolą pierniczki?

— Wie pani, że to może i racja. Oj, przed Ciapkiem można mieć pietra! Jak huknie: „Jadźka, dosyć wódy, znów się zalejesz jak świnia” — to nie tknę, żeby nie wiem co. Jeszcze mnie żaden tak za mordę nie trzymał.

— Jak do mnie przychodzi, to niby taki dobrotliwy, ale tyle ma godności. Nie raz nie mam odwagi odezwać się do niego...

— A kelnerzy jak go się boją!

— A wszyscy referenci jak go szanują! Tylko to co on zarządzi.

— A orkiestra jak go się słucha! Tylko to, co Ciapek każe. Najwięcej lubi to: „Chryzantemy złociste w kryształowym wazonie, la la la la...”

— Proszę pani! — przerwała popis śpiewaczy panna Ewa — pani wybaczy, ale nie po to zaczynałam z panią tę rozmówę. Taka sytuacja dłużej trwać nie może. Jeżeli pani nie ustąpi dobrowolnie...

— A co, pani sobie wyobraża, że ja zerwę z Ciapkiem dla pani przyjemności? On szaleje za mną! Dobra pani jest!

— A może panie pozwolą pierniczki? — odezwała się ciotka, o której istnieniu zapomniały obie. — Proszę bardzo, domowe. Nie? Szkoda. W podróży pierniczek dobra rzecz. Ja, to mam zwyczaj o wszystkim z góry pomyśleć. I chwała Bogu. Bo mój stary, to jak mam być szczera, nie raz w głowę się pukam i myślę, jak to możliwe, że on jest męskiego rodzaju. Pewnie, swoją wygodę się ma, siedzi cicho, nie wtrąca się, już ja go tam przyzwyczaiłam, że wszystko na mojej głowie. Co ma w biurze zrobić, to mnie się przedtem radzi, jak przyjedzie do domu. — „Ty masz dobrze w głowie, mama” — powiada — „powiedz, jak zrobić, czy tak, czy tak, bo później powiesz, żeś od razu mówiła, to już wolę zrobić od razu po twojemu”. Żeby nie ja, to by on ładnie wyglądał, siedziałby na jakiejś posadce do siwego warkocza. A tak, to go się nieraz pytam: „Źle ci, tata?” A on: „Czy z tobą może być źle, mama?” Nieraz zacznie politykować, a ja mu tylko: „Znasz się na tym, tata, jak kura na pieprzu. Zostaw to mnie.” A on: „Dobrze, mama.” Ale co ja, tylko paniom przeszkadzam. Proszę, niech panie rozmawiają, ja zjem pierniczka.

— Ale ma gadane — szepnęła artystka Reta Arbo — mniejsza z nią. Kończmy nasze. Niech się pani od Ciapka odczepi, bo on mnie kocha.

W tej chwili w drzwiach gabinetu stanął niezauważony przez nikogo kierownik.

— Nieprawda! — krzyknęła panna Ewa. — Mnie kocha! Tylko mnie!

— Ale! Co on by z panią robił? Pani musi być strasznie nudna! Ciapek musi mieć taką morową, jak ja!

— Nieprawda! To wielki umysł: jemu potrzeba kobiety, która go potrafi ocenić!

Nagle kierownik spostrzegł siedzącą w kącie ciotkę.

— Mama! — krzyknął radośnie. — Kiedy przyjechałaś? No, nareszcie! Chodź, niech cię uścisnę! Chodź do tamtego pokoju, opowiesz, co w domu!

— Panie kierowniku — szepnęła panna Ewa.

— Ciapek, słuchaj... — rzekła nieśmiało Reta Arbo.

— Później, później — burknął obojętnie kierownik. — No chodź, mama!

— Czekaj, tata, przywiozłam ci z domu klops, taki jak ty lubisz. Zjesz zaraz kawałek.

— Dobrze, mama! — powiedział potulnie Mężczyzna i wyszedł do drugiego pokoju, trzymając w ręku klops w pergaminowym papierze.

Jerzy Mieczysław Rytard

Rozmowy z SZYMANOWSKIM

Zmarły w marcu 1937 r. znakomity nasz kompozytor Karol Szymanowski, twórca słynnego baletu „Harnasie", bywał niejednokrotnie w Zakopanem przed 1914 r. Nie zainteresował się jednak wówczas folklorem góralskim. Inne przyświecały mu wtedy cele artystyczne. Po wojnie odwiedził znowu Zakopane w 1922 roku, we wrześniu.

Przebywali tam razem z nim tej jesieni w jego gronie: Jarosław Iwaszkiewicz z małżonką, architekt Stryjeński z żoną-malarką, Zofią Stryjeńską, rozmiłowaną w folklorystycznych tematach, rzeźbiarz-góral Stanisław Sobczak, uczeń paryskich szkół rzeźbiarskich, skrzypek Stanisław Mierczyński, zapalony zbieracz melodii podhalańskich, Jan Gwalbert Pawlikowski, późniejszy autor pięknej „Bajdy o Niemrawcu", J. Zborowski, kustosz Muzeum Zakopiańskiego, muzykolog — prof. Chybiński, profesor śpiewu i meloman — Romaniszyn, niżej podpisany, oraz szereg innych osób. W czasie tego pobytu pod Tatrami zainteresował się Szymanowski po raz pierwszy muzyką, śpiewem i tańcem naszych górali. Był to okres wielkich triumfów baletu Diagilewa w Paryżu i Londynie. Odżyły w nim najlepsze tradycje baletów rosyjskich z ostatnich dziesiątków lat przed pierwszą wojną światową. Nasze zainteresowanie góralszczyzną natomiast było zbiorowym, spontanicznym odruchem, który opanował wymienioną tutaj grupę osób, jakby naprzekór szerzącej się jak epidemia, powojennej dancingo- i jazzo-manii.

Folklor góralski był wtedy znacznie świeższy i mniej skażony, niż dzisiaj. Chłonęliśmy więc z zapałem wszystko to, co zachowało się jeszcze na Podhalu z jego dawnych kształtów, barw i dźwięków.

W jeden z pogodnych dni wrześniowych postanowił Szymanowski wraz z wymienioną tu grupą przyjaciół, urządzić wieczornicę, aby posłuchać muzyki i śpiewu góralskiego.

Wsiądźmy w imaginacji do słynnego, wellsowskiego „wehikułu czasu". Odbędziemy w nim podróż do lat minionych. Końcową stacją tej eskapady w przeszłość będzie właśnie ów wieczór wrześniowy w 1922 roku.

Wysiadamy w Zakopanem przed pracownią rzeźbiarską Sobczaka przy ulicy Kościeliskiej, gdzie odbywa się owa wieczornica.

Wchodzimy do pracowni. Gwarno tu i tłoczno. Orkiestra obrochtów ze sławnym skrzypkiem góralskim, siwym Bartusiem Obrochtą na czele — stroi instrumenty. Karol Szymanowski rozgląda się w tej chwili po rozbawionym tłumie i pod chodzi do okna, gdzie stoją: Iwaszkiewicz, jego żona, i Rytard.

Szymanowski: — No, jesteście nareszcie! To pięknie, że zdążyliście wrócić z tych obrzydliwych gór na ten wieczór dzisiejszy. Zdradziliście mnie aż na pięć dni!...

Iwaszkiewicz: — Zdradziliśmy cię, Karolu, ale to wina tej cudownej wrześniowej pogody.

Rytard: — Nie łatwo się oprzeć magnesowi gór... Zwłaszcza o tej porze!

Iwaszkiewiczowa: — Wiesz, południowe stoki Jaworów wyglądają jak różnobarwny dywan, upleciony z jesiennych odcieni traw, mchów i kwiatów, których nazwy trudno nawet spamiętać.

Iwaszkiewicz: — Nocowaliśmy w Ciemnych Smereczynach, w szałasie przy rozpalonej watrze.

Szymanowski: — Ajaj! Musiało być twardo i dym szczypał w oczy. No, ale każdy wiek ma swoje przyjemności... Trzeba przejść przez wszystkie ich stadia...

Rytard: — Wyobraź sobie, Karolu, dolinę, wciśniętą między potężne szczyty, zapełnioną gąszczem starych, brodatych smreków. Tam właśnie, w tej puszczy górskiej, wyobraziliśmy sobie Sabałę, przygrywającego na złubcakach, nad zastrzelonym niedźwiedziem.

Iwaszkiewiczowa: — Na szczęście obeszło się bez niedźwiedzia, tylko puszczyki pohukiwały.

Szymanowski: — W myśl wszelkich przepisów było niewygodnie, twardo, ale groźnie i romantycznie. Zazdroszczę wam, kochani, niestety ja z tą moją biedną nogą nie nadaję się do takich przygód.

Rytard: — No, jak romantyzować, to wyobraziliśmy sobie w tych Smereczynach Chałubińskiego w otoczeniu przewodników i „raubszców" tatrzańskich, biwakujących wokół ogniska, przy muzyce młodego wtedy chłopca — Bartusia Obrochty, o tego samego, siwego już dzisiaj staruszka, przygrywającego na tej wieczornicy.

Szymanowski: — Tak, to jest ten świat góralski, który frapuje mnie, jako materiał, jako surowiec artystyczny. Powinniśmy wykorzystać jego gasnące resztki. Ale powiedzcie, skąd się tu wzięły te wyfiokowane paniusie?

Iwaszkiewicz: — Rzeczywiście! Dużo obcych twarzy.

Iwaszkiewiczowa: — Widocznie poczta pantoflowa poinformowała, znajoma znajomych naszych znajomych o tym, co tu będzie, i zleciały się na tę atrakcję.

Szymanowski: — Nudzą i psują nastrój! Przed waszym przyjściem jedna z nich chciała mnie zagadać na śmierć swoją teorią o cygańskim pochodzeniu naszych górali.

Rytard: — Raczej wołoskim. Kiedyś tam, przed królem Ćwieczkiem jeszcze, osadnictwo wołoskie posuwało się wzdłuż Karpat, docierając aż na Morawy czeskie.



(Orkiestra Obrochtów, nastroiwszy wreszcie instrumenty, zagrała tzw. „drobnego". Chór dziewcząt rozśpiewał się równocześnie do słów):

Kie ja se zaśpiewam,
W kietusiej dolinie,
To sie mi w Giewoncie
Fijołek ozwinie!

Szymanowski: — Posłuchajcie, jak to brzmi!

Iwaszkiewicz: — Ten śpiew zmieszany z gwarem i muzyką... Nie przypomina ci trochę „Wesela"?...

Szymanowski: — Owszem, tylko bez widm, kaduceuszów i narodowych kadzi...

Iwaszkiewicz: — A może, Karolu, kto wie, może i one są tutaj...

Szymanowski: — Aj, niedobry jesteś, kotku, takie nieprzyjemne rzeczy przypominasz...

Iwaszkiewiczowa: — Przyznaj, Karolku, że to jednak podobne trochę do zabawy w pawie pióra...

Szymanowski: — A fe, i ty także Haniu?!...

Rytard:—Brakuje jeszcze opinii Witkacego, który dostaje gęsiej skórki, gdy usłyszy tumult roztańczonej ciżby góralskiej, a mieliśmy rzeczywiście miniaturę bronowickich dyskusji „weselnych". O, ale idzie tu Staś Mierczyński! Dowiemy się, co to za melodia.

Mierczyński: — Uf, zmęczyłem się! Nie darował mi Bartuś dzisiaj; powiada: „Panie Stasiu, ozrusajciez i wy swój smycek!" A naszym chłopcom zakopiańskim trzeba grać w tempie! Mówią, że „przy dziadowskim graniu się nie tońcy".

(Chór dziewcząt śpiewa:)

Kie ja se zaśpiewam,
Pusce dolinom głos,
Usłysys mie chłopce,
Ale mie nie poznos!

Mierczyński: — A ta nuta, Karolu, jak ci się podoba? Melodia „cochowiańska", z Cichego, słowa — zakopiańskie...

Szymanowski: — Ba! Uważam, że ze wszystkich melodii góralskich, najcharakterystyczniejsze są te właśnie „nuty ozwodne".

(Chór zmienia melodię i słowa):

Spotkało sie dziewce z jeleniem,
Cesało mu grzywe grzebieniem!

Mierczyński: — A to, „nuta zielona", którą kończą każdy taniec, spięty nią jak klamrą.

Iwaszkiewiczowa: — Ten dwuwiersz mógłby się doskonale znaleźć w jakiejś strofce poetyckiej.

Iwaszkiewicz: — Trzeba mieć rzeczywiście poetyckie zacięcie, żeby w króciutkim dwuwierszu zawrzeć tyle akcji, ekspresji i nastroju.

Rytard: — Ta balladowa strofka! Nadaje się według mnie świetnie do kompozycji malarskiej.

(Śpiew i muzyka cichną. Obrochta gra solo).

Mierczyński: — A to „sabałowa nuta". Tylko jeden Bartuś potrafi ją tak grać.

Szymanowski: — Gdy przysłuchuję się temu muzykowaniu, dochodzę do przekonania, że gra jego jest właściwie pewnego rodzaju improwizacją. Dzisiejszego wieczoru, nutę tę powtarzał już kilka razy. Uderzają w niej, za każdym razem inne zmiany w zasadniczej melodii. Ta jego słynna „prima", to właściwie jakby cały szereg wariantów na ten sam temat. *(Obrochta zmienia trochę melodię):* O, słuchajcie, właśnie nowa wersja. Tak, to jest artysta, to artysta swego rodzaju!...

(Obrochta gra coraz ciszej).

Melodia zamiera zupełnie.

Ach, tak, prawda... nie możemy jej w tej chwili usłyszeć, jest bowiem... rok 1947... Zgrzytnęły hamulce wehikułu czasu. Wysiadamy.

(Dokończenie ze strony 8-ej)

DZIEŃ CZEKANIA

W domu już była Stefa i brat, który dopiero wszedł do ciasnego przedpokoju. Zdejmował naładowany plecak i wyciągał z niego samochodowe dętki.

— Znów mam dwie — chwalił się do Stefy.

Broniła się przed snem, pragnąc jak najpóźniej zasnąć. Teraz, o północy w uciszonym pokoju, z ręką, opartą na wiklinowych prętach łóżka, koiła się codzień tym samym, prawie niezmienionym widzeniem.

Jej mąż, Stach, wracający z obozu, wchodzi w ten nasycony sennymi oddechami pokój. Widziała w wyobraźni jego postać wynędzniałą, twarz nieogoloną, oczy te same, co zawsze. Stawał tu przy łóżku Małgosi, zapadniętej w poduszki, zadziwiony i olśniony niespodzianką, patrzył nienasycenie w twarz dziecka.

Taka, a może inna będzie chwila.

Gdy się dowie, że to jego dziecko, a przecież uwierzy, na pewno uwierzy, przyjdzie ta podwójna radość. Przywitanie i uciszone szczęście. Pocałunek nieogolonej, wynędzniałej twarzy i uśmiech, uśmiech na wyobrażenie którego mdlała leżąc na tapczanie. Jakże będzie wyglądał ten dzień, Boże jedyny. Będzie to szczęście tak przemożne w swojej sile, że aż błogi strach brał na sam błysk nadziei. „Odchoruję jeszcze tę chwilę, moja wytrzymałość chyba wtedy opadnie".

Gdy szczęście wyobrażone było za wielkie, niebezpieczne w imaginowanym obrazie, dostawała przed snem jakby instynktownych ukłuć rozsądku. A jeżeli nie...? Uciszała myśl, ciąg dalszy, owo słowo „nie powróci" i zaczynała przerażona zasypywać wszystko modlitwą.

Boże jedyny, Boże miłosierny. Uratuj go, uratuj go. Ojcze nasz, zdrowaś Mario, słowa mieszały się razem jak rozsypany z łańcuszka różaniec. Mechanizm modlitwy był tylko tłem, akompaniamentem najistotniejszej prośby, „uratuj. uratuj". On nie jest nic winny, cierpi niesłusznie, to wszystkiemu ja winna, ja najgorsza, ja najpodlejsza". Gdyby nie ja, Ojcze nasz, któryś jest w niebie... gdyby nie ja, święc się Imię Twoje... nie byłoby całego nieszczęścia.

Patrzyła ze łzami na twarz dziecka na nosek zadarty, główkę z wytartymi



włoskami i w zamkniętych powiekach niemowlęcia szukała nagle wsparcia i ratunku. Patrząc, jakby powoływała się na nie przed Bogiem, wzywała je na świadectwo, na ugruntowanie swojej prawdy. „Jeśli nie dla mnie podłej i głupiej, to dla niej, Boże Najświętszy, wróć Stacha, uratuj drogie życie".

Oddechy falowały w pokoju. Mroźny wiatr z niedalekich błoń wpadał przez szczeliny okna, poruszał nawet z lekka czarnym, zwisającym papierem. Chłodny prąd powietrza, wpadając na nagie ramiona, rzeźwił ją nieco i budził instynkt matki. Poprawiała flanelowy kocyk, wiszący na poręczy u nóg dziecka, zatykała nim szczeliny. Dotknięcie wełny i rozgrzanych poduszek, uciszało nieco jej osłabione nerwy. Gasiła lampkę delikatnie, naciskając zwolna guzik na mosiężnej podstawie, żeby głośny w ciszy trzask kontaktu nie obudził śpiącego dziecka.

Ciemność sprowadzała czasem jeszcze bardziej niespokojne myśli, czasem gasiła obrazy chorej wyobraźni i powlekała głowę Ireny sennym namaszczeniem.

Co kilka dni udawało mu się sprzątnąć Niemcom z magazynów, dętki. Zmuszony w ostatnich miesiącach do pracy w niemieckich warsztatach samochodowych, wymierzał sobie w ten sposób satysfakcję.

— Po co to przynosisz? — niepokoiła się matka.

— Przyda się na handel. Więcej z tego będę miał, niż wy z waszego pieczenia. Nie myślę tam za darmo pracować.

Przychodził wieczór dalszej pracy w kuchni, wieczór wzajemnych pociech i nadziei. Sumowano wiadomości z dnia całego i cieszono się z jednej znowu przeżytej doby, zbliżającej do końca.

Późno w nocy dom ucichał, surowe zapachy w kuchni zamieniały się w zapach gorących, wypieczonych rogalików i blach, parujących zrumienionym ciastem. Irena ze Stefą rozkładały tapczan, kładły się we dwójkę do snu. Przysunięte do Ireny koszykowe łóżeczko trzeszczało delikatnie w ciszy wyschniętymi prętami.

Michał Rusinek

APEL PARANDOWSKIEGO

Jan Parandowski na łamach „Odrodzenia" (Nr 20/129) zwraca się do pisarzy świata o podjęcie inicjatywy założenia w miastach europejskich — na czele z Warszawą — „muzeów hańby i zbrodni" niemieckich. Muzea przechowywałyby potworne monumenta zbrodni, popełnionych przez Niemców czasu wojny, albowiem — stwierdza Parandowski — „byłoby niewybaczalnym błędem, grzechem naszego pokolenia, gdyby nie uczyniło ono wszystkiego, aby przekazać potomności dokładne i wyczerpujące materiały do poznania krwawego obłędu Niemiec i ich niszczycielskiej roboty". I Parandowski uważa, że „świat cały powinien obejrzeć" w takich muzeach — oprócz dokumentów pisanych — przede wszystkim dowody rzeczowe zbrodni niemieckich: narzędzia tortur, rozcinacze do książek z kości ludzkich, mydło z tłuszczu ludzkiego, skórę ludzką wyprawianą na pergamin, popielniczki z czaszek ludzkich, pantofle z włosów ludzkich — krótko mówiąc, wszystko, w czym się lubowało zwyrodniałe jestestwo katów niemieckich. „Czyż to wszystko ma pochłonąć jakiś lamus?" — zapytuje Parandowski.

Myśl znakomitego pisarza jest słuszna. Zbrodnie niemieckie, wołające o pomstę do nieba, powinny być uwiecznione — i jako zjawisko, przekraczające wszystkie dotychczasowe rozmiary okrucieństw historycznych, i w tym celu również, żeby dać przykład odstraszający potomności. Mimo to, gdy czytam napisany po mistrzowsku apel Parandowskiego, rodzi się w mym sercu uczucie sprzeciwu — może nie tyle sprzeciwu, ile po prostu sądzę, że myśl Parandowskiego powinna być inaczej praktycznie urzeczywistniona. Postaram się to wyjaśnić.

We wrześniu r. ub. zwiedzałem Majdanek i napisałem o nim w „Tygodniu" (Nr 13 z dn. 6.X.1946) reportaż p. t. „Majdanek przeobrażony". Otóż, na Majdanku utworzono muzeum, mniej więcej takie, jakie chciałby widzieć Parandowski, może tylko nie tak wielkie i „zasobne". Pozwolę sobie zacytować z mego reportażu ten ustęp, w którym usiłowałem zrobić rachunek wrażeń, jakie mną targały, gdym oglądał owo muzeum:

„W baraku, gdzie się mieściły warsztaty szewskie, mnóstwo — nazwijmy je tak — eksponatów: imienne listy straconych, wykresy, statystyki, fotografie, strupieszałe buty, butwiejące komplety pasiaków, trupie czaszki, puszki z cyklonem... Stoją także naturalnej wielkości figury więźniów (z wosku? z gipsu? z plasteliny?), których twarzom artysta dość prymitywnie nadał wyraz straszliwego wyczerpania i cierpienia... Z daleka czynią złudzenie żyjących czy raczej upiorów... z bliska, zamiast współczucia i współcierpienia, budzą zgrozę i odrazę. Przykro mi, że o tym piszę, ale nie wstrząsnęły mną one, nie wywołały tego uczucia, jakie wywołać jest zapewne ich przeznaczeniem... W tej postaci, jaką Majdanek przybiera dzisiaj, nasuwa on człowiekowi wrażliwemu inne skojarzenia. Przypomina mu ze smutkiem paryskie Musée Grévin i Les Oubliettes, gdzie za opłatą kilku franków można podziwiać okropności: średniowieczne tortury, rozdzieranie końmi woskowych ludzi, gilotynowanie woskowej kukły (jak żywej)... Te skojarzenia potęguje okoliczność, że pracownicy muzeum majdańskiego, oprowadzając po nim zwiedzających, popadają w rolę zawodowych guide'ów i mówią jednostajnie wyuczonym stylem: tutaj możecie państwo widzieć 820 tysięcy par butów — jest to tylko cząstka — miliony obuwia wywieziono do Niemiec — Majdanek bowiem był dla Hitlerowców przedsiębiorstwem dochodowym — około dwustu kilo włosów kobiecych wywożono miesięcznie w celach fabrykacji... Widziałem też tam taką kontrastową scenę: przed paleniskiem jednego z pieców krematoryjnych klęczała stara kobieta, zatopiona w modlitwie, a obok kręcili się ludzie w czapkach na głowie i rozmawiali głośno".

Tak opisywałem z całą prawdą i z bólem swe przeżycia w „muzeum hańby i zbrodni". I w zakończeniu wyraziłem lęk przed tym, że takie muzeum może ulec „zwulgaryzowaniu". Aby temu zapobiec, myślałem, że należy raczej wystawić na Majdanku świątynie-grobowce tych wszystkich religij, których wyznawcy ginęli tutaj, jakże często z modlitwą na wargach. Świątynie przydałyby męczeńskiemu miejscu wzniosłości, którą może stopniowo zatracić w zgiełku ciekawych turystów — mimo szlachetny wysiłek twórców muzeum.

Oto pierwsza przyczyna, dla której nie zakładałbym publicznych „muzeum hańby i zbrodni". Ułomny człowiek bardziej jest skłonny do złego niż do dobrego, i o profanację — mimowolną nawet — martyrologii nie trudno. Druga rzecz — to kwestia wpływu wychowawczego podobnych muzeów. Jeśli dostępne są one dla wszystkich, zwłaszcza dla młodzieży, dla kobiet, żądnych „dreszczyków", wpływ ten, jak poucza doświadczenie i obserwacja, może być obosieczny. Czy nie można np. przypuścić, że sławetne muzeum tortur średniowiecznych w Norymberdze, zwiedzane przez Hitlerjugend, rozniecało w niej instynkt okrucieństwa *), drzemiący, niestety, w wielu osobnikach ludzkich? Otwarta też jest sprawa natury, jeśli tak można określić — penalnej, t. j. powstaje odwieczne pytanie, czy widok narzędzi i przedmiotu zbrodni umoralnia nas i odstrasza od niej, czy też drogą, wiodącą do wytępienia zbrodniczości, jest poprawa bytu i uszlachetnienie jednostki ludzkiej przez wychowanie.

Wreszcie — zagadnienie „wyobraźni". Jeśli normalny, zdrowy człowiek wyobrazi sobie, że mógłby — jak gestapowiec — mieszkać w pokoju, gdzie na stole ma popielniczkę i rozcinacz z kości ludzkiej, na półce książki oprawne w skórę ludzką, a pod łóżkiem pantofle z włosów — taki człowiek doznaje przerażenia i otrząsu. Ale, jeśli weźmie w rękę rozcinacz z kości ludzkiej i zacznie mu się przyglądać, gotów — niestety — dojść do przekonania, że niczym on się od innych wyrobów kościanych nie różni. Można się „otrzaskać" — jak, powiedzmy, owi studenci medycyny w „Lalce", najlepsi i najuczciwsi ludzie, otrzaskali się z trupimi czaszkami, w których trzymali tytoń i cukier. Tak, dzieci nasze oswajały się z ohydą okupacji, bawiąc się w łapanki i egzekucje uliczne. Silniej, głębiej i bardziej celowo działa na sumienie i serce ludzkie, artystyczny opis jakiegoś zjawiska, niźli dłuższe obserwowanie go. Na tym właśnie polega wartość moralna literatury. I nie ma wątpliwości, że jesteśmy bardziej poruszeni artystycznymi słowy Porandowskiego, niż, gdybyśmy, chodząc po salach muzeum zbrodni, patrzyli na szeregi pantofli z włosów i na rozcinacze, leżące w gablotkach.

Myśl Porandowskiego — powtarzam — w zasadzie jest słuszna. Ale trzeba ją inaczej urzeczywistnić. Niech, zamiast muzeów publicznych, urządzone będą pracownie naukowe „hańby i zbrodni", wyłącznie dla badaczów, dla dziejopisów, psychologów, psychiatrów, dla historyków kultury, dla artystów wreszcie i filozofów. I ci ludzie będą tłumaczami, wykładaczami zagadnienia „hańby i zbrodni" wobec mas społecznych. Zresztą, nad apelem Parandowskiego rozwinie się z pewnością szeroka i rzetelna dyskusja, która uściśli myśl, powziętą przez niego.

Jerzy Wyszomirski.

---

*) Por. R. Guyon „La cruauté", M. Zdziechowski „O okrucieństwie", dr J. Putek „Mroki średniowiecza" i in.

KRONIKA KULTURALNA

OSTERWIE poświęciła prasa codzienna wiele artykułów. Jak zwykle w takich okolicznościach — przeważają komunały. Z ich powodzi wypływa na wierzch jak oliwa „Wspomnienie o Juliuszu Osterwie" Tadeusza Łopalewskiego w łódzkim „Kurierze Popularnym" (NrNr 130 i 131). W latach 1925—1929, gdy „Reduta" pracowała w Wilnie, Łopalewski był wojewódzkim referentem do spraw teatralnych: stąd jego czteroletni nieprzerwany kontakt z tym teatrem, z jego dyrektorem i takimi współpracownikami, jak: Iwo Gall, M. Limanowski, Jerzy Kossowski, oboje Wiercińscy, Chmielewski, Perzanowska, Woszczerowicz. Oprócz sumiennej historii czterolecia redutowego w Wilnie, pełnej uznania i adoracji, charakterystyki Osterwy i jego zespołu — „Wspomnienie" — Łopalewskiego odsłania te słabości sławnego teatru, które doprowadziły go wreszcie do upadku: „Cóż to była Reduta jako instytucja? — pisze Łopalewski: Wewnątrz kapitał wielkiego entuzjazmu dla sztuki, niespotykana gdzie indziej zaciekłość w pracy ideowość wysiłków, wiara w kierownictwo... A na zewnątrz? Nieporadność organizacyjna i administracyjna, naiwność finansowa i lekkomyślność często aż irytująca".

●

W KOŃCU CZERWCA br. — jak donosi „Dziś i Jutro" — ma się odbyć w Paryżu Międzynarodowy Kongres Rodziny, który będzie obradował nad sytuacją — w najszerszym znaczeniu tego słowa — rodziny w Europie powojennej. „Dziś i Jutro" podaje streszczenie programu zagadnień, jakie Kongres chce przedyskutować. Najważniejsze z nich byłyby: położenie materialne — potrzeby i dochody przeciętnej rodziny w Europie; praca zawodowa kobiet i jej wpływ (ujemny czy dodatni) na życie rodzinne; kwestia mieszkaniowa. Ta ostatnia staje się zagadnieniem największej wagi, albowiem — jak stwierdza program — „rodzina nie może ani żyć, ani się rozwijać bez zdrowego i wystarczającego mieszkania". Kryzys mieszkaniowy odbija się na populacji: powoduje zmniejszenie się ilości urodzin i zwiększa śmiertelność, sprzyja szerzeniu się chorób społecznych — takich, jak alkoholizm; w ciasnocie mieszkaniowej pleni się gruźlica i choroby weneryczne.

Kryzys mieszkaniowy! Twardy to będzie orzech do zgryzienia dla Kongresu, nawet gdy będzie on obradował w niezniszczonym Paryżu. Cóż dopiero, gdyby się miał zjechać na gruzach Warszawy. Ale, być może, przekonałby się tutaj, że mimo wszystkie przeciwności— rodzina polska chce żyć i rozmnażać się.

●

„HORYZONTY" — taki tytuł nosi miesięcznik polski, od roku wychodzący we Fryburgu szwajcarskim. Kilka zeszytów jego dotarło już do Polski, i jest zapowiedź, że będzie regularnie w kraju kolportowany. „Horyzonty" chcą, jak widać, nawiązać łączność kulturalną pomiędzy krajem a emigracją, o której stwierdzają, że „jej kontakt z rzeczywistością polską mocno jest nadszarpnięty". Ponadto „Horyzonty", przez specjalne wydawnictwa, pragną informować zagranicę o życiu kulturalnym Polski. Takim wydawnictwem jest np. „Ars Polonica", której część I pt. „Polska grafika nowoczesna" wyszła już w trzech językach — francuskim, niemieckim i polskim — nakładem „Horyzontów". Zarówno sam miesięcznik jak i „Ars Polonica" mają wspaniałą szatę graficzną — albumowy papier oraz obfitość doskonałych ilustracyj i reprodukcyj. Wydawcą „Horyzontów" jest p. Vérène Iroller, redaktorem — p. Eugeniusz Lukas. Pismo ma oddziały we Francji, Anglii. Szwecji i w Niemczech (strefa brytyjska).

ST. ŁATKA

Wanda Melcer

BIAŁE I CZARNE SZALEŃSTWO

Otwarto w Muzeum Narodowym wystawę „50 lat filmu francuskiego", ogłoszoną bardzo przyjemnym afiszem Staniszkisa, na którym trzy kwadraty w narodowych francuskich barwach — gdzież prostszy motyw? — ułożyły się w bardzo zadowalającą graficznie całość.

Nie cofajmy się aż do pierwszych latarni projekcyjnych, które sięgają zamierzchłych czasów: film wynalezli bracia Lumière, Francuzi, w roku 1895. Portret Ludwika Lumière wisi w jednej z sal wystawy; starszy pan, gładko wygolony, przeciwieństwo do brodatego, obrosłego Meliesa, również filmowego „magika".

Ta sztuka, jak kwiat, rozwinęła się w naszych oczach, na naszym oknie, można by powiedzieć. Widzieliśmy jej początki, i, nie wiedząc nawet o tym, przeżywaliśmy te same intensywne radości, które pobudziły jej twórców, że ten obraz się porusza. Gwałtownie i kontrastowo oświetlony aktor wykonywał w atelier gwałtowne i kontrastowe ruchy. Podnosił ręce, jakby go pociągał niewidzialny sznurek, zginał sztywno nogi w kolanach, niepokojąco ruchliwy i czarno biały, jak pierrot. Był jak mechaniczna zabawka, jak pajac.

Po pierwszych aparatach do zdjęć ciągłych, które Muybridge, Plateau, Reynaud nazywają chronofotografem a potem praxinoskopem, zjawia się aparat po zwalający na wykonanie 16 zdjęć na sekundę. Aparat ten jest w użyciu przez długie lata, tak samo, jak atelier, które pozwalało na robienie zdjęć wyłącznie przy dziennym świetle. Te dwa czynniki — zbyt mała ilość zdjęć (obecnie robi się ich 24 na sekundę) oraz nieodpowiednie światło sprawiają, że nasz kredowo blady pajac miał takie ostre ruchy. Ale przyłączył się tu jeszcze jeden czynnik, tym razem chemicznej natury. Spójrzmy na nieba tych pierwszych krajobrazów: powleczone są jednostajną, nieskontrastowaną szarością, nie grają. Cóż to za porównanie z takim feerycznym niebem, które oglądaliśmy niedawno w filmie sowieckim „Dzieci kapitana Granta". To niebo—to dramat, to poemat sam w sobie, jak nieba, które malował wielki polski malarz Weiss. Otóż w „chwytaniu" tego nieba, w subtelnym zróżniczkowaniu zieloności parku, łąki czy lasu zabrakło nie artystycznej wrażliwości twórcy, ale pewnej emulsji, która obecnie uwrażliwia błonę fotograficzną na odcienie niebieskich i fiołkowych barw.

Było jedno: był ruch i pomysły Lumière'a urodziły się z chęci utrwalenia tego ruchu w poszczególnych jego stadiach. A ruch był zawsze jednym z najciekawszych zagadnień nie tylko dla fizyka, ale i dla artysty. Wystawa pokazuje nam, jak to fotografowano sprinterów na powietrzu, każąc im skakać przed czarnym tłem specjalnie wybudowanej drewnianej galerii. Przypominam sobie z tego samego okresu pisaną książkę — czy nie Delacroix? — rozpatrującą ruch z punktu widzenia malarza. Autor przyszedł do wniosku, że gwałtowny nawet ruch u plastyka — galopujący koń, biegnący człowiek — jest zawsze ukazany w jakiejś syntezie paru faz, nigdy z fotograficzną dokładnością.

Takie więc były zainteresowania w pierwszym okresie zastosowania wynalazku. Stąd i tematy, które tak nas śmieszyły w czasach dzieciństwa, naiwne, jak młodość: gonitwa, bójka, pijak. Burselska, pierwsze „gagi" Maks Linder, pierwsze filmy rysunkowe Cohl'a.

I wtedy przychodzi reakcja: cóż to za głupie tematy! Oto ordynarna rozgrywka, „w sam raz dla mas". Uszlachetnijmy film! Jak? Ano, to proste, zagrajmy tragedię, będzie szlachetnie i pięknie. Mamy przecież świetnych artystów, Sarę Bernhardt, Réjane, wielu innych. Mamy teksty, mamy panie dziejski, historię. I zagrano — „Zabójstwo księcia de Guise". Jest to rok 1908.

Mówię wam, boki zrywać. Warto choć by dlatego popędzić na tę filmową wystawę, żeby zobaczyć ową zieloną młodość wielkiej sztuki. Maleńka scenka— czyżby objektyw nie obejmował więcej, czy co, u diaska? Papierowe dekoracje, przedstawiające „salony". Przez wąskie drzwiczki wciskają się ostrożnie — żeby nie uszkodzić cennych portczat — panowie w trykotach i bufach. Z niemą gwałtownością wstają, siadają, klękają, wyciągają do przysięgi palce — dziki balet, fin de-siècle'owe „girls" historii. Wpada książę, gadają, wychodzi, wbijają mu w plecy sztylety, raz, raz! Trup leży i drga.

Nie, tak nie idzie — myślą sobie filmowi potentaci — to coś nie tak. Tak się filmu nie „uszlachetni". Natchnienie, odmiana nie może przyjść z zewnątrz, ze spleśniałych kart historii, dymu i huku wielkich, aktorskich nazwisk. Cóż to jest wreszcie film? Fotografia, myśl, wywinięta z taśmy.

Trafili. I teraz następuje okres najcudowniejszej zabawy w nową grę: najpierw zabawa w światło. Oświetla się artystę z boku, z przodu, od spodu, z góry, każe mu się grać w ciemnościach, w gwałtownych kontrastach barwy, w w wybuchach szmermeli i rac. To już rok 1923, to słynny Iwan Mozżuchin, to Lisienko, to apoteoza światła.

I jednocześnie — reportaż „służba społeczna. Od tego przecież zaczął Lumière, pokazując robotników, wychodzących z fabryki. Teraz za szaleństwem światła idzie szaleństwo formy: obracają się koła parowozów, przewijają lśniące tryby maszyn, wężowo czołgają transmisje, błyszczą osie, falują szyny, kamień ustępuje swojego miejsca darni, darń żelazu. Materia, ruch, gra sił. Człowiek jako masa i forma. Wynalazek idzie za wynalazkiem, zwiększa się ilość zdjęć na sekundę, buduje odmienne, do sztucznego światła nadające się ateliers, robi zdjęcia pejzażowe, morskie, powietrzne. Zadziwiający, ekspresjonistyczny film René Claire'a „Antrakt" zamyka ten bogaty, ten wspaniały okres pierwszych formalnych poszukiwań.

A dalej? Dalej już wiecie. Nowi reżyserowie, nowi aktorzy „Ludzie za mgłą", „Dachy Paryża"... To już wszyscy pamiętają. Dalej? Dalej jeszcze nastąpi.

Ale dobrze czasami przystanąć — i obejrzeć się za siebie. I przypomnieć sobie, jak się zaczęło czarno - białe szaleństwo.

MŁODOŚĆ TOMASZA EDISONA



Mickey Rooney w roli młodocianego Edisona.

„Jest to film o odwadze — odwadze chłopca" — piszą na wstępie do filmu „Młodość Tomasza Edisona" jego twórcy.

Wiele odwagi rzeczywiście mieć musiał mały Tomek, by wyrwać się z atmosfery politowania i szyderstwa, lekceważenia i niewiary, która w małej amerykańskiej mieścinie końca ubiegłego stulecia otoczyła chłopca o umyśle badawczym i śmiałym, z fantazją i nieraz lekkomyślnością szukającego rozwiązania zagadki — dlaczego tak jest, jak jest?

Jego pełne rozmachu pomysły zyskują mu miano „wariata", niepoczytalnego osobnika, z którym nikt nie chce obcować, którego nikt nie chce w chwili ciężkiej dla niego zatrudnić. Jedyną przystanią jest dom, w którym czasem brak zrozumienia zastępują miłość i wyrozumiałość — ojca, głęboka wiara w geniusz syna — matki, dziecinna ufność i podziw — małej siostrzyczki. Odwaga zwycięża. Pierwszy etap życia młodego wynalazcy, jego pierwszy konflikt z ludźmi, kończy się pomyślnie. Taka jest treść jednego z pierwszych filmów amerykańskich, który wszedł obecnie na ekrany Warszawy. Akcja toczy się szybko. Momenty wzruszające czy zabawne przeplatane są z umiarem chwilami tragicznego napięcia.

— Czy lekarz będzie mógł operować natychmiast ciężko chorą matkę przy świetle lamp naftowych?

— Czy Tannie usłyszy i zrozumie w pędzącym z oddali pociągu sygnał nadawany przez Tomka alfabetem Morse'a o grożącym niebezpieczeństwie?

Gra artystów jest naturalna i żywa. George Bancroft i Fay Beitner jako strapieni rodzice „dziwnego" chłopca i mała Virginia Weidler jako jego siostra, odtwarzają swe role dobrze. Mickey Rooney, którego pamiętamy z filmów przedwojennych w krótkich scenkach z życia dzieci, gra z przejęciem i doskonale panuje nad sobą. W całości — film niezwykle przyjemny i dający wiele zadowolenia widzom, zwłaszcza młodocianym, którym należałoby udostępnić jak najszerzej obejrzenie tej historii z życia młodego wynalazcy.

Elza

W teatrach łódzkich



W Teatrze Kameralnym „Miasto w dolinie" Priestley'a. Na zdjęciu: Hanna Bielicka (Alice) i Feliks Żukowski (Joe).



Teatr Wojska Polskiego gra „Śluby Panieńskie" Fredry w reż. Daczyńskiego.

Na zdjęciu Bogucki w roli Gustawa i Benigna Sojecka w roli Anieli.

JAK ZBUDOWANE JEST „SPOŁEM"

Kiedy na Kongresie Lubelskim w 1944 roku postanowiono wszystkie istniejące dotychczas spółdzielcze związki gospodarcze połączyć w jedną całość, powstało zagadnienie, **jak wyglądać ma organizacja tej nowej centrali.**

Zagadnienie nie było łatwe, ponieważ nie było żadnych wzorów, ani doświadczenia w tym kierunku. Nie było dotychczas w Polsce nie tylko na odcinku spółdzielczym, ale w ogóle w życiu gospodarczym takiego zespołu zagadnień gospodarczych, jakie miał obejmować nowy Związek „Społem". Ale poza zagadnieniami gospodarczymi, które w Związku należało rozwiązać w sposób możliwie jak najlepszy, istniał zespół zagadnień o charakterze pozagospodarczym, które przy budowie nowej organizacji musiały być wzięte pod uwagę. Wszyscy zgadzaliśmy się, że nadszedł czas zespolenia wysiłków gospodarczych na odcinku spółdzielczym w jednej organizacji, że ruch spółdzielczy, jeśli chce odegrać w nowym ustroju społeczno gospodarczym rolę samodzielnego odcinka, to nie może pozwolić sobie na wewnętrzne walki i wzajemną konkurencję.

A jednak — mimo powszechności tego rodzaju koncepcji, istniały w ruchu spółdzielczym tendencje odśrodkowe, wynikające ze względów pozagospodarczych, często osobistych. Przy budowie nowego Związku trzeba było wziąć tego rodzaju tendencje pod uwagę, aby nie dopuścić do rozbicia z takim trudem scementowanej jedności. Toteż, aczkolwiek koncepcja zorganizowania nowego Związku „Społem" w sposób federacyjny, to znaczy połączenia jednym wspólnym ogniwem samodzielnych zupełnie branż, była bardzo kusząca, jednakże nie do urzeczywistnienia w naszych warunkach.

Również i zwolennicy przeciwnej myśli scentralizowania wszystkiego i podporządkowania jednej naczelnej dyspozycji, musieli się liczyć z dotychczasowym rozwojem ruchu spółdzielczego i ze sprzecznością tej koncepcji z samą ideologią spółdzielczości, opierającej centralną instytucję spółdzielczą na wolnej decyzji zrzeszonych członków. W ten sposób **wybrano pośrednią drogę**, która przejawiła się w tym, że z jednej strony w Centrali „Społem" scentralizowano tylko najogólniejsze dyspozycje i kontrolę, pozostawiając dużą swobodę w wykonaniu tych dyspozycji placówkom terenowym, z drugiej strony poszczególne branże otrzymały dość znaczną samodzielność, przy skoncentrowaniu w Wydziale Głównym, wspólnym dla wszystkich branż, jedynie najważniejszych wspólnych spraw, które powinny być załatwiane w jednolity sposób we wszystkich wydziałach branżowych, ze względu na interes całości ruchu spółdzielczego (np. sprawy finansowe, personalne ,szkoleniowe itd).

Należy stwierdzić, że na przestrzeni ubiegłych dwu i pół lat organizacja Związku „Społem" nie stała w miejscu, lecz stale ulegała zmianom w kierunku pogłębiania specjalizacji i coraz to większej swobody, jaką uzyskiwały poszczególne piony branżowe.

Związek „Społem" przedstawia zatem — z jednej strony szereg pionów branżowych ,powiązanych wspólnie w Wydziale Głównym, wspólnym dla wszystkich branż, z drugiej strony Związek „Społem", to Centrala i kilkaset terenowych placówek podporządkowanych tylko w sposób bardzo ogólny dyspozycjom i kontroli płynącym z Centrali.

Obecnie w „Społem" istnieje 7 wydziałów branżowych. Z jednej strony są 4 wydziały, których działanie związane jest z terenem wsi. Nad tymi wydziałami, jako czynnik koordynacyjny funkcjonuje Komisja Wiejska. Są to wydziały: rolniczy, zbożowy i przetworów zbożowych, mleczarsko-jajczarski i przemysłowo-rolny. Z drugiej strony posiadamy wydziały: spożywczy, produkcji i handlu zagranicznego.

Jaki jest zakres działania tych wydziałów?

Wydział Rolniczy skupuje poprzez aparat spółdzielni rolniczych ziemiopłody oraz dostarcza rolnikom za pośrednictwem tego samego aparatu, to wszystko, co jest im w ich warsztacie pracy na roli potrzebne: a więc: maszyny. narzędzia rolnicze. nasiona, nawozy sztuczne itd.

Wydział Zbożowy i Przetworów Zbożowych koncentruje w swym ręku skup zboża oraz handel artykułami zbożowymi.

Wydział Mleczarsko - Jajczarski poprzez sieć spółdzielni mleczarskich i zbiornic jajczarskich skupuje: masło, jaja, sery, miód, drób itp. oraz zaopatruje spółdzielnie mleczarskie w potrzebne im maszyny i urządzenia.

Wydział Przemysłowo - Rolny opiekuje się spółdzielczym przemysłem rolniczym (browary, gorzelnie itd.). Wydział ten prowadzi nie tylko działalność gospodarczą, ale również i instrukcyjną.

Wydział Spożywczy dostarcza spółdzielniom typu konsumcyjnego wszystkich przedmiotów, potrzebnych do konsumcji (artykuły spożywcze, włókiennicze, szklane, papiernicze itd.).

Wydział Produkcji jest wielką centralą produkcyjną spółdzielczości, kierując około 100 zakładami wytwórczymi. W ramach Wydziału Produkcji wyodrębniony jest Główny Dział Młynarski, któremu podlegają młyny, zarówno te, które były dotychczas w administracji „Społem", jak i te, które przejęte zostały po zlikwidowaniu Państwowego Zjednoczenia Młyńsko - Piekarnianego.

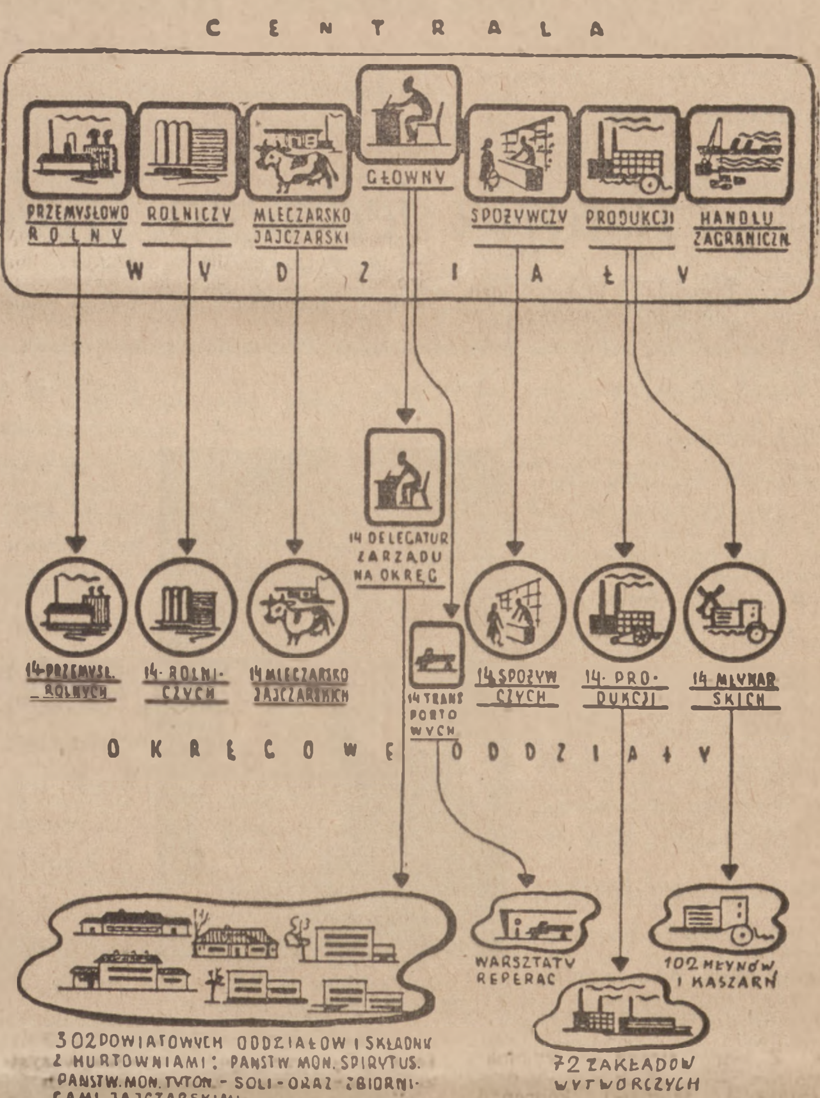
Wreszcie **Wydział Handlu Zagranicznego** zajmuje się wywozem i przywozem towarów za granicę i z zagranicy.

Poza wydziałami branżowymi istnieje **Wydział Główny**, który, jak już zaznaczono, koordynuje pracę wydziałów branżowych. W ramach Wydziału Głównego istnieją z jednej strony komórki, które stanowią aparat dla centralnego kierownictwa Związku, jak: Sekretariat Zarządu, Biuro Prezydialne, Biuro Samorządu Spółdzielczego, Główny Dział Finansowo Rachunkowy, Działy Personalny, Organizacyjny i Instrukcyjno - Kontrolny. W drugiej grupie znajdują się komórki, które stanowią jedynie agendy o charakterze usługowym, wspólne dla wszystkich wydziałów, jak: Główny Dział Transportowy, Dział Szkolenia, Dział Ubezpieczeń, Wydawnictw itd.

J. WIR

(Dokończenie w następnym numerze)

SZEMAT „SPOŁEM" JAKO CENTRALI GOSPODARCZEJ



NOWY GARNITUR

Historia najzupełniej prawdziwa

Podczas okupacji nie zdołałem — na moje nieszczęście — sprzedać kuponu materiału bielskiego na ubranie. Nikt nie chciał dać 2 tys. złotych za metr. Odesłałem żonie, która też nie mogła go sprzedać. Więc materiał został. Gdy wróciłem z Niemiec, żona zaprowadziła mnie do krawca, aby z tego materiału uszyć ubranie. Krawiec, ignorując mnie zupełnie i ustalając z żoną fason, ilość guzików, termin wykonania, cenę, kręcił mną, jak manekinem, biorąc miarę. Żona była przejęta. Łudziła się — już nie pamiętam ,który raz — że uczyni ze mnie eleganckiego mężczyznę. Uszyto mi piękny, jasny garnitur. Nie miałem odwagi go włożyć. Taki garnitur wymaga, aby go prowadzono na spacer i to w miejsca ładne, czyste, bez błota i kurzu, co w Warszawie — wobec sprawnej działalności Zakładu Oczyszczania Miasta i schludnej czystości tramwajów — jest nieco utrudnione. Poza tym nowe ubranie wymaga dystyngowanych ruchów i odpowiedniej postawy. Nie mogę przecież przynieść wstydu ubraniu z bielskiego materiału. Takie ubranie ma swoje wymagania. Czasem jest ono, jak urzędowy tytuł lub stanowisko: uderza do głowy, którą się powinno zadzierać do góry. Wszystko to mnie odstraszało. Garnitur rok wisiał w szafie.

Ale przyszła kryska na Matyska (moje nazwisko okupacyjne). Stary garnitur zaczął się przecierać. Nie miałem innego wyjścia. Włożyłem nowy. I wtedy dopiero zaczęła się moja gehenna. Już po wejściu do biura koledzy rzucili się do mnie hurmem i zaczęli mnie szczypać (koleżanki też), miętosić garnitur, podziwiać go. Stałem się znów manekinem. Nie dostrzegano mnie wcale.

Wyczułem obok podziwu — zazdrość w stosunku do mnie (że mam tak piękne ubranie) i litość w stosunku do garnituru (że wisi na tak nieszczególnym indywiduum). Uraziło mnie to nieco, ale się pocieszyłem słowami znanego z XV wieku przed Chr. cejlońskiego filozofa, Brembekorpolunokosa, który pocieszał ludzi, że nigdy nie jest tak źle, jak im życzą wrogowie.

Pocieszenie to zbyt długo nie trwało. Jeden z kolegów odwołał mnie na stronę i w sekrecie się zwierzył, że nie ma ani grosza pieniędzy, czy nie mógłbym mu parę „kawałków" na drobne wydatki pożyczyć? Gdy zacząłem mu się tłumaczyć najzupełnie szczerze, nie uwierzył. Z urazą odszedł ode mnie. W ciągu tego dnia trzech kolegów chłodno się ze mną pożegnało za odmowę pożyczki. Zaczęło mi być trochę niewygodnie.

Na mieście spotykam się z przyjaciółmi, pracującymi na różnych posadach państwowych i samorządowych. „Skąd taki garnitur? Dobrze wam się w „Społem" powodzi". Krew mnie zalewa, ale próbuję wyjaśniać. Próżny trud. W oczach widzę wyraźnie drwiny. Zaczynam z innej beczki. Następnym mówię: „Owszem. Deputaty już nam odebrali. Pobory ustabilizowali. Ceny się same podnoszą". Nie pomaga. Oczy przyjaciela wyraźnie mi mówią: „Opowiadaj dzieciom bajeczki. Zupełnie nowy garnitur i do tego z bielskiego materiału. Kto może sobie pozwolić na taki garnitur, nie może narzekać na złe czasy". Tym razem ja się pożegnałem chłodno. Lecz, gdy któryś z kolei — już nie przyjaciel, a znajomy, zacierając ręce, powiedział: „Ładne interesiki się w „Społem" załatwia, co?" — i mrugnął do mnie filuternie okiem, zwymyślałem go od ostatnich i skląłem siarczyście. Nawet nie zdołał mi odpowiedzieć. Z rozdziawioną gębą zostawiłem go tak na ulicy.

W krótkim czasie utraciłem przyjaciół. Stałem się nieufny i niemiły dla otoczenia. Teraz się leczę na nerwy. Nowe ubranie zrzuciłem. Stare przeciera się dalej. Ale liczę na 13 Państwową Centralę Zbytu (zbywa obywateli, nie towar) która — w dążeniu do zlikwidowania zbędnego pośrednictwa — jako nowe z kolei ogniwo tak się usprawni, że w końcu każdy z nas bez losowania otrzyma taki przydział, że przynajmniej na spodeńki kąpielowe starczy.

Wtedy w tym nowym garniturze odzyskam swoją godność. Koledzy będą się na mnie patrzyli, mnie podziwiali, a nie mój garnitur.

Wierzę w trzynastkę.

A kolegom i przyjaciołom radzę z głębi serca: „Nie ubierajcie się w nowe garnitury, szczególnie z bielskiego materiału nawet za cenę powszechnego podziwu. Nie opłaca się. Zbyt drogo kosztuje i pieniędzy i zdrowia."

WŁAŻEL

BAJECZKI
dla dużych dzieci

Janusz Odrowąż

„Historia jednego fraka"

Czy umiem pisać recenzje filmowe? Jeszcze jak! A fotos jakiś macie? W porządku, to i recenzja będzie.

Zaczyna się ten film dość głupio... Aha, jeszcze muszę powiedzieć, jaki film. Więc — „Historia jednego fraka" z Charles Boyer, Ginger Rogers i paru innymi.

Muszę podkreślić, że oglądałem tę historię na specjalnym pokazie prasowym, gdzie nie tylko nic się nie płaci za bilet, ale nawet wolno palić pod krzesłem.

Ja siedziałem po środku, z lewej strony jakaś pani z piórkiem, z prawej Eugeniusz Żytomirski.

Charles Boyer, owszem, nie powiem, starał się, robił co mógł, ale gdzie mu do Żytomirskiego! Ten dopiero pokazał klasę!

Uduchowiona twarz poety grała wszystkimi barwami tęczy, odbijała tak straszliwą walkę wewnętrzną, że przez dwie godziny patrzyłem, jak urzeczony.

Zaczęło się jeszcze przed zgaszeniem świateł.

— Wiesz — powiedział Żytomirski, pełnym dostojnej powagi głosem — ja ten film znam. Widziałem go w Nowym Jorku.

Zadrżałem.



Charles Boyer w filmie „Historia jednego fraka"

Czyż można sobie wyobrazić gorszy pech? Na całej sali nikt nie zna, nawet bileterzy jeszcze nie znają, to ja akurat musiałem usiąść koło takiego, który zna! Po Amerykach mu się zachciało jeździć! W Nowym Jorku nie ma nic lepszego do roboty, tylko iść na „Historię jednego fraka!" A jeśli już był, to po co przyszedł teraz? Wiadomo, żeby przez cały czas opowiadać mi, co będzie dalej.

Jednak już pierwsze minuty filmu przekonały mnie, że byłem w błędzie. Nie doceniałem majestatu i głębi duszy poety. Żytomirski przyszedł nie po to, żeby mi opowiadać, co będzie dalej, ale właśnie po to, żeby mi nie opowiadać. W szlachetnym dążeniu do umacniania żelaznego charakteru, narażał się własnowolnie na jedną z największych mąk, by wyjść z walki zwycięsko.

Chwilami zdawało mi się, że ulegnie. Gdy facet na filmie, zastrzelony przez zazdrosnego męża, prawidłowo umierał i wyglądało na to, że wszystko skończone, Żytomirski wybuchnął:

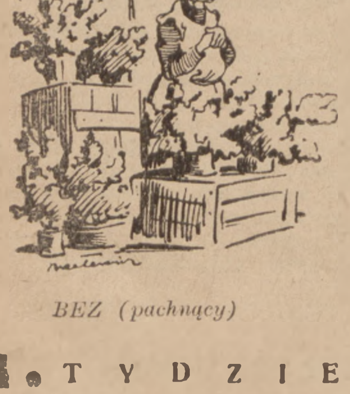
— To jeszcze nic! Uważaj teraz!

Lecz opanował się i nie powiedział nic więcej. Do końca filmu wytrwał mężnie, zagryzając kurczowo wargi. Pani z piórkiem, która, zorientowawszy się w sytuacji, błagała go kilkakrotnie o informacje, nawet nie odpowiedział.

Ale wiem, ile go to musiało kosztować.

Zaprawdę, był to wielki dramat psychologiczny, którego obejrzenie wszystkim polecam. Idźcie koniecznie z Żytomirskim na „Historię jednego fraka".

TRZY RAZY BEZ



BEZ (pachnący)



BEZ (gotówki)



BEZ (nieporozumień)

PRZYGODY ZAGŁOBY

Rys. Jerzy Zaruba

Na meczu



— Gazu! Gazu, mości panowie! Niech mnie psi zjedzą, znowu piłkę stracili! Przekleństwo! Nasze białe chłopaki ani rusz decydującego gola zrobić nie mogą . .



— Nie gniewaj się waść, że ci twe nakrycie głowy trochę popsowam, ale do pewnego fortelu jest mi to potrzebne. Musimy białym pomóc! Pro publico bono, mosanie.



— Popatrz waść, jak się czarni tym przedmiotem, pośród nich rzuconym zajęli. Zaraz go będą kopać, aż miło! A tymczasem nasi...



— Victoria! Zwycięstwo! Gol! Mecz wygrany! Fortel Zagłoby nie zawiódł!

SPÓŁDZIELCZOŚĆ i MODA

Współzawodnictwo trzech sektorów na rewii w Łodzi

Rewia Mody, która odbyła się w sali Teatru Wojska Polskiego w Łodzi, skupiła więcej publiczności (naturalnie głównie przedstawicielek płci pięknej), niż premiera najbardziej atrakcyjnej sztuki. Bilety zostały rozchwytane. Krzesła na parterze i balkonach zatłoczone, loże nie mogły pomieścić wielbicielek królowej mody. Pełno ich było we wszystkich przejściach.

W świetle reflektorów, na scenie, gdzie ustawiono pokryte szarą materią schody i specjalne podium, w takt sentymentalnych tang i melodyjnych walców przesunął się przed oczami widzów szereg modelek, demonstrujących toalety od porannych penuarów i szlafroczków do strojów balowych. Dużo westchnień kobiecych płynęło z widowni za prezentowanymi na scenie kreacjami.

W rewii mody brało udział wiele firm prywatnych, Powszechna Spółdzielnia Spożywców oraz Państwowa Żeńska Szkoła Przemysłowo - Handlowa (gimnazja krawieckie i dziewiarskie).

Rewia obrazowała więc pracę trzech sektorów: prywatnego, spółdzielczego i państwowego (o ile szkołę państwową można pod ten ostatni sektor podciągnąć) w służbie dyktatorki, jaką staje się w czasach pokojowych moda.

Bo na rewii, wśród różnorodności tkanin, wśród wielości, a jednocześnie harmonii barw, wśród zainteresowania kobiet na widowni najdrobniejszymi szczegółami damskich strojów, wyczuwało się atmosferę życia już ustabilizowanego. życia ,które choć w trudnych warunkach gospodarczych po wojnie nie jest łatwe, pozwala jednak na luksus takich kłopotów, jak „czy w tej sukni będzie mi do twarzy", „ciekawa jestem, ile kosztuje tamta z brązowego szyfonu", „takie drewniaki pasowałyby doskonale do mojej żółtej sportowej z kartkowego materiału".

Firmy prywatne demonstrowały piękną bieliznę damską z drogich materiałów. To samo dotyczy sukien letnich, często artystycznych w projekcie, ale przeważnie luksusowych (np. ręcznie malowane kwiaty na białym jedwabiu). Te stroje, ze względu na cenę nie będą dostępne dla zebranych na widowni kobiet pracujących. Pozostaną modelami, wspomnieniem, z którym połączyć można tylko marzenia o posiadaniu takich toalet, a nie możność kupienia ich, noszenia ich w domu, w biurze, szkole czy na spacerze.

Inny cel pozostawiły sobie Powszechna Spółdzielnia Spożywców i Państwowa Żeńska Szkoła Przemysłowo-Handlowa. Pierwsza demonstrowała według projektów Zofii Jeżewskiej np. praktyczne i estetyczne kombinezony dla robotników i mechaników, suknię do biura („suknia dla sekretarki"), szereg skromnych sukienek letnich z tanich materiałów w kwiaty czy z płótna itp. Demonstrowane modele przeznaczone są do produkcji seryjnej. Spółdzielczość wychodzi bowiem z założenia, że nie tylko wybrane kobiety, te, które mają dość pieniędzy, aby nabyć zdobiony drogimi koronkami model „poranek", czy szlafroczek „pokusa" (takie nazwy nosiły prześliczne zresztą, ale kosztowne modele jednej z łódzkich firm prywatnych), ale wszystkie, te ciężko pracujące w szkołach, biurach i fabrykach i te, zajmujące się gospodarstwem i dziećmi panie domu — muszą być ubrane nie tylko praktycznie, ale ładnie. Spółdzielnie, wytwarzające gotowe ubrania (sporo gotowych ubrań roboczych sprzedawano np. po niskich cenach w akcji „przemysł dla wsi"), mogą mieć znaczny wpływ, dzięki swemu coraz większemu zasięgowi i dostępnym cenom, na kształtowanie się mody, powinny więc dbać o dobre wykonanie, estetykę, nawet elegancję, ubierać bowiem będą w przyszłości nie bogate jednostki, ale ogół. I muszą dbać, aby ubrany był jak najlepiej.

Imponująco wypadł pokaz modeli Państwowej Żeńskiej Szkoły Przemysłowo-Handlowej. Wszystkie modele z materiałów przydziałowych, pomysłowe, często artystyczne.

Oprócz toalet damskich na rewii pokazano wiele modeli sukienek i ubranek dziecięcych, obnoszonych z wdziękiem przez dzieci robotników Powszechnej Spółdzielni Spożywców.

Dodać należy jeszcze, że do wszystkich modeli damskich dostosowane były świetnie kapelusze, pantofelki (drewniaki) i torebki, prezentowane przez firmy prywatne.

W całości Rewia sprawiała wrażenie b. dodatnie.

W części artystycznej udział wzięli: Jadwiga Kenda (primadonna operetki „Lutnia"), Eug. Karski (tenor) i Siostry Winiarskie (tercet wokalny). Konferansjerkę prowadził p. Zygmunt Mąkowski.

Publiczność wzięła udział w rewii przez wylosowanie kilku pięknych materiałów na suknie letnie i płaszczy gumowych, wyrabianych już obecnie w kraju. Cennych niespodzianek (wraz z cukierkami, które rzucane były ze sceny na widownię), dostarczyła Powszechna Spółdzielnia Spożywców.

Całkowity dochód z Rewii przeznaczony został na P.C.K.

Z-a

Z meczu Słowacja-Polska 13.V.1947



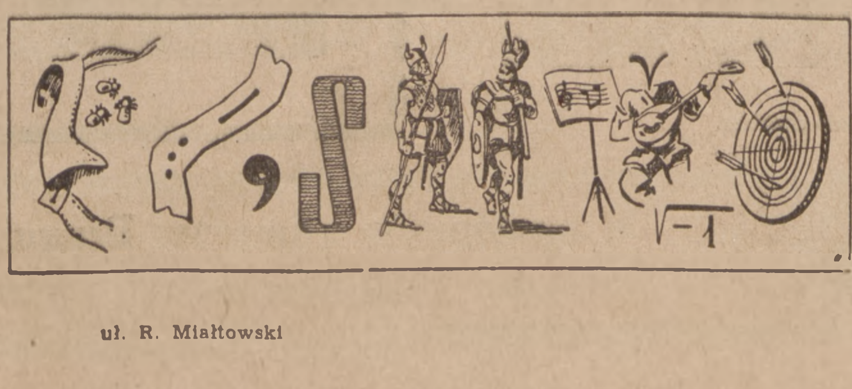
Bramkarz słowacki w akcji.

IV KONKURS „TYGODNIA" *na rozrywki umysłowe*

W numerze 13 (37) ogłosiliśmy czwarty konkurs „Tygodnia" na rozrywki umysłowe, które podawać będziemy w dziesięciu kolejnych numerach. Jako nagrody Redakcja przeznacza 30 nagród książkowych i 20 nagród — prenumerata kwartalna „Tygodnia".

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej. W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia" Warszawa, Szpitalna 5 m. 8 do dnia 28 czerwca br.

Jednocześnie przypominamy, że konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, prosimy więc po zakończeniu konkursu wskazać 3 najlepsze zadania zamieszczone w ramach tego konkursu. Autorom wyróżnionym przez Czytelników przyznane będą nagrody książkowe. Sądzimy, że w ten sposób wartość zamieszczanych zadań jeszcze bardziej podniesie się.



ul. R. Miałtowski

W ubiegłym tygodniu nagrodę 150 zł otrzymał p. Ryszard Janiak (Warszawa, ul. Daszyńskiego 14 m. 9) za wycinek z „Rzeczpospolitej". Jest nim felietonik p. Megana, w którym autor, naśladując niepotrzebnie styl Zoszczenki, opowiada o tym, jak obserwował na Marszałkowskiej siwiuteńkiego staruszka, który leżał pod murem omdlały z głodu i wycieńczenia:

Stanąłem i patrzę. Kto, uważacie, podejdzie do staruszka, zaopiekuje się. I co się okazało — nikt nie podszedł. Obojętnie obywatele przechodzili, nie zlitowali się. Niech leży — mówią — staruszek. Nam co do tego? Godzinę dobrą tak stałem ,przypatrywałem się, do domu wreszcie poszedłem. A staruszek pod murem został. Taki naród teraz nieużyty nastał. Świnie, można powiedzieć, nie ludzie („Rzeczpospolita" z dnia 25.4.1947).

Zaintrygowani dziwnym zachowaniem się staruszka, który całą godzinę omdlewał z wycieńczenia, zbadaliśmy jego sprawę. Dowiedzieliśmy się, że nie był to zwykły staruszek. Był to przebrany w łachmany multimilioner amerykański; udawał on Haruna-al Raszyda, aby doświadczyć serc ludzkich. W kieszeni miał czek na 10.000 dolarów dla tego przechodnia, który mu pośpieszy z pomocą. Patrzył spod oka całą godzinę na ob. Megana i powtarzał sobie w duchu: „Świnie powiadasz nie ludzie. Ale tamci przynajmniej mijają mię szybko. A ta stoi, stoi i patrzy". Do wiadomości ob. Megana dodajemy, że staruszek przeniósł się ostatnio na Żoliborz i tam w dalszy ciągu odgrywa rolę Haruna.

WAHANIA TEMPERATURY

Jeżeli chodzi o temperaturę mórz, to waha się ona od 300 st. w strefach polarnych do 90 st. — w tropikalnych („Kurier Popularny" Nr 121).

Oczywista, że 300 st. poniżej zera i 90 st. powyżej zera. Toteż w strefach polarnych mórz w ogóle nie ma, ciągną się tylko nieskończone obszary lodowcowe; w strefach zaś tropikalnych Europejczycy nie mogą się kąpać w morzu. Ale tubylcy przywykli do wrzątku, pływają w nim jak ryby i nawet gotują w morzach strusie jaja na twardo.

GRUŹLICA W POEZJI

Gruźlica to wróg straszny, to wróg bezlitosny, więc uczę się go unikać od swej życia wiosny... Dla chorych na gruźlicę ważne przykazanie: mieć zawsze osobiste oddzielne posłanie... Pamiętaj, że nie tylko ręce pocą się i góra, ale i w dół od pasa bywa brudna skóra... Gdyś chory, to przy kaszlu słoń usta rękoma — chronisz innych od prątków, fatyga znikoma... Gruźlica na piecuchów wyciąga swe macki: gdy spoczywasz po pracy — używaj przechadzki! (Z ulotki, wydanej przez Wydział Walki z Gruźlicą Min. Zdrowia pt. „Jak żyć należy, aby siebie i innych uchronić od gruźlicy").

Wszystko w tej ulotce rozumiemy: i to, że w życia wiośnie najlepiej jest czegoś się uczyć; i to, że osobiste posłanie jest oddzielne; że góra może się pocić, w dół zaś od pasa skóra bywa najbrudniejsza; i znikomość fatygi chronienia innych od prątków; i nawet tajemniczego słonia i wreszcie to, że podczas spoczynku można używać przechadzki. Ale nie rozumiemy, dlaczego Ministerstwo Zdrowia zajmuje się poezją.

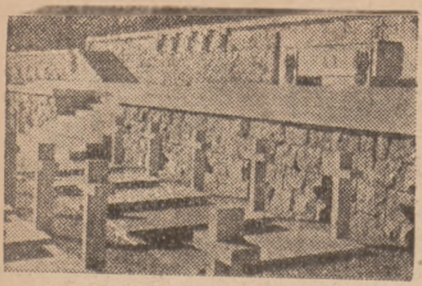
DZIAŁANIA ARYTMETYCZNE

... Prowadzone są obecnie prace nad planami odbudowy gmachu Filharmonii warszawskiej przy ul. Jasnej który ma stanąć w r. 1949, tj. w setną rocznicę urodzin Chopina („Dziennik Zachodni" z dn. 22.3.47).

Od 1949 odejmujemy 100 i otrzymujemy datę urodzin Chopina: 1849. Wiemy, że żył on 40 lat. Do 1849 dodajemy 40. Suma 1889 jest więc rokiem śmierci Chopina. A więc w roku 1949 będziemy obchodzili od razu dwie rocznice: setną urodzin i sześćdziesiątą śmierci wielkiego kompozytora. Na taką uroczystość Filharmonia musi być rzeczywiście odbudowana.

TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień"
Redaguje: Zespół redakcyjny
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8
Redaktor przyjmuje w czwartki, piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY. Redakcji 86-164
Administracji 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna zł 40.
Konto P.K.O. Warszawa Nr I-4766
Ogłoszenia za 1 mm. wysokości na szerokość 1 szpalty — 50 zł.
W kolorze — 50% drożej.
Druk Zakłady Graficzne Spółdzielni Wydawniczej „Książka". Warszawa Smolna 12
B-60350



Fragment górnego tarasu polskiego cmentarza.

MONTE CASSINO

PO TRZECH LATACH

18-go maja 1944 roku zakończona została zwycięstwem wojsk alianckich jedna z najsłynniejszych bitew ubiegłej wojny.

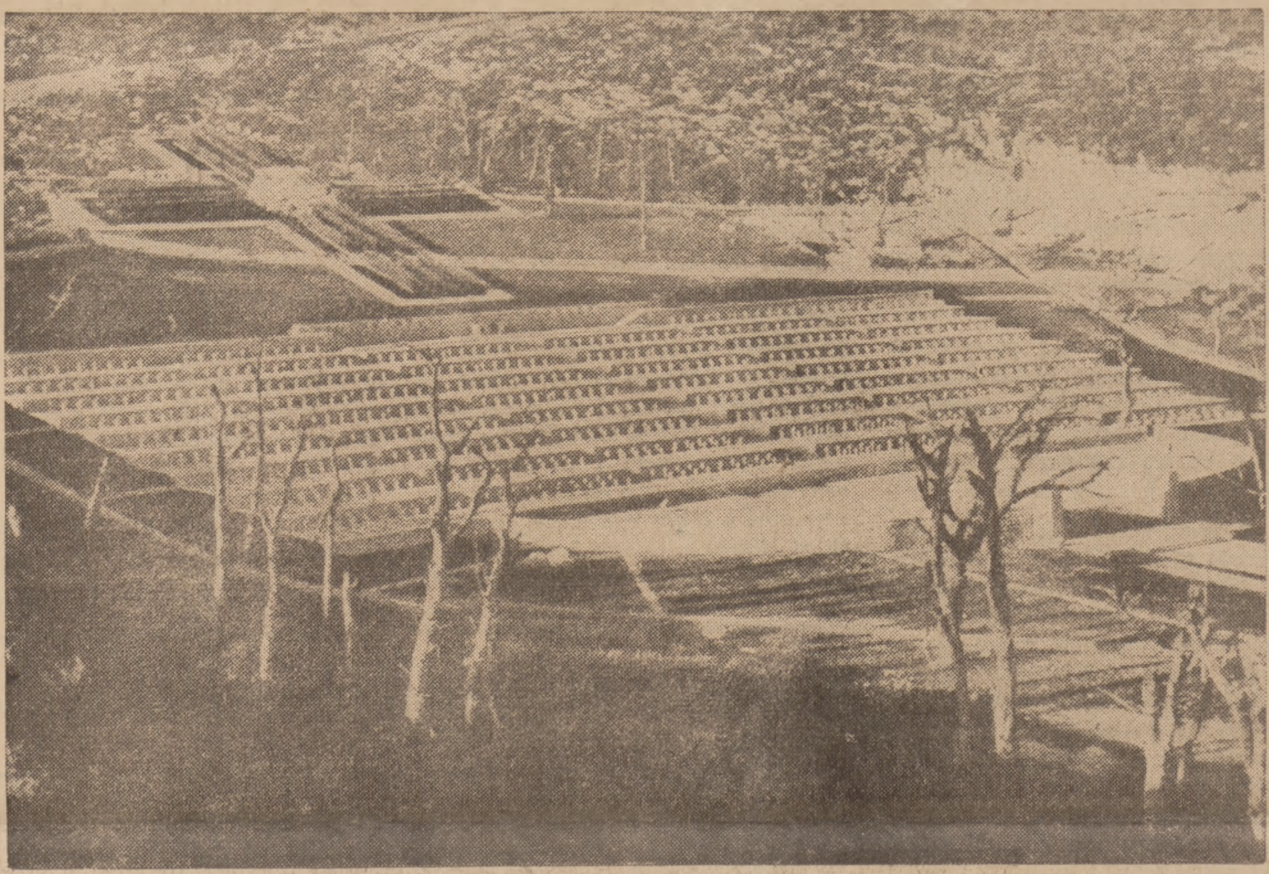
Po okresie wielotygodniowych zmagań zdobyto Monte Cassino, zagradzające drogę do Rzymu. Decydujący udział w tym zwycięstwie przypadł oddziałom polskim. One to po daremnych atakach brytyjskich i francuskich osiągnęły decydujący sukces.

Monte Cassino dzisiaj — to cmentarz bitwy i miasto zwolna podnoszące się ze straszliwego zniszczenia. Położone na wysokości 519 metrów, jako punkt strategiczny znane było już ludziom z epoki żelaza, a następnie Rzymianom którzy zbudowali tam swą cytadelę.

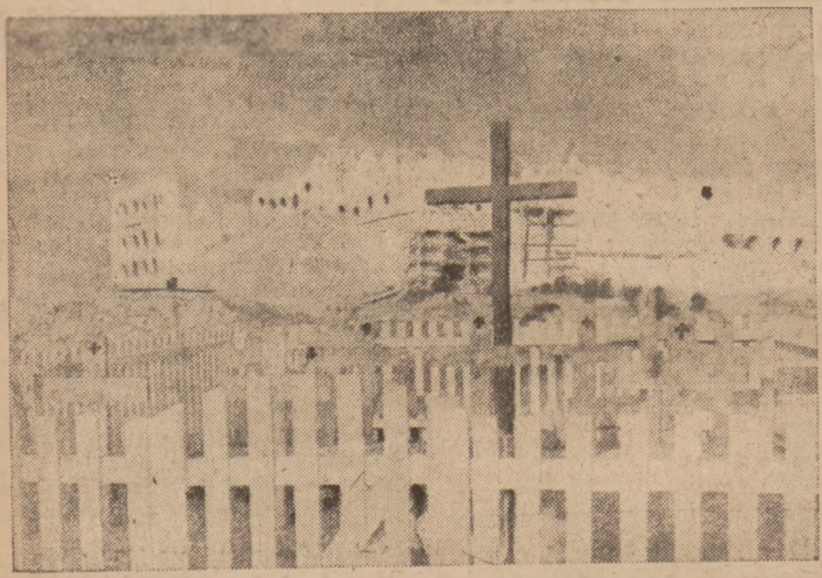
Tam też wVI wieku po Chrystusie św. Benedykt założył swój klasztor.

Przed bitwą miasto liczyło 24.000 mieszkańców, dzisiaj podnosi się ono z powrotem z gruzów, podobnie jak wiele innych miast kontynentu, dotkniętych wypadkami wojennymi.

Los sprawił, że nazwa tego włoskiego miasteczka zapisana została w najnowszej historii Polski. Cokolwiek bowiem można by powiedzieć o bezcelowości tej walki, w żadnym wypadku nie można i nie wolno niedoceniać **bohaterstwa żołnierza polskiego,** który spoczywa na cmentarzu Monte Cassino.

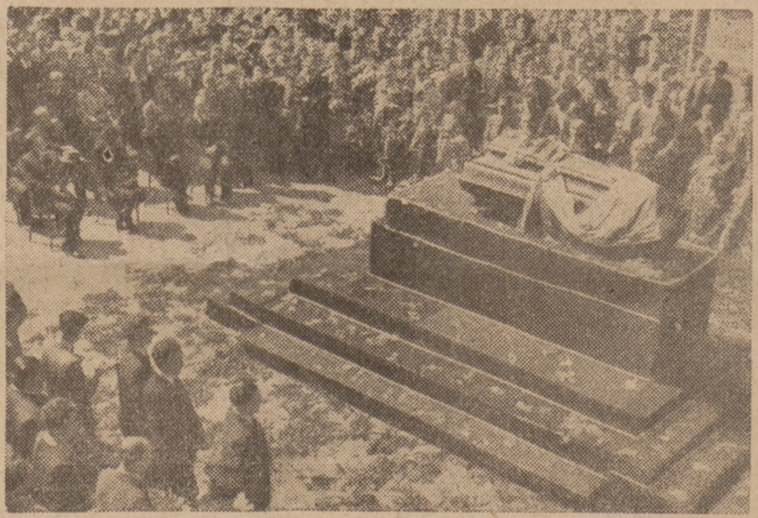


Polski cmentarz pod Monte Cassino.



Wielki krzyż panuje nad pobojowiskiem.

TŁUMY PUBLICZNOŚCI TOWARZYSZYŁY TRUMNIE JULIUSZA OSTERWY, ODDAJĄC HOŁD PAMIĘCI NIEZAPOMNIANEGO ARTYSTY.



W następnym numerze: Druga rozmowa z prof. Hirszfeldem, przeprowadzona przez Marka Sadzewicza